



UWAGI
W KWESTYI WŁOŚCIJAN,

a mianowicie:

jak było u nas i gdzieindziej,

podał

Aleksander Jelski.

WARSZAWA,

1884.

<http://rcin.org.pl>

UWAGI W KWESTYI WŁOŚCIJAN,

a mianowicie:

jak było u nas i gdzieindziej,

podał

Aleksander Jelski,

*Originali Mitteln in pira, M. p. a. i.
W. l. o. s. j. a. n. i. e. m. e. n. e.
w. d. a. n. y. j. e. s. k. i. e. j. e. s. t. e. m. e. n. t. e.
a. a. t. a. r.*

*1884 r. 9/10 lipca
A. Jelski*

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA,

1884.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Декабря 1882 года.

18-234

Autor mieszkający daleko od Warszawy nie mógł sam czytać korekty, wskutek tego wkradło się ^{uważa} kilka ważnych omyłek, o których sprostowanie przed rozpoczęciem czytania uprasza.

		wydrukowano:	czytaj:
str.	8 wiersz	9 z góry <i>nawracającym</i>	<i>nawróconym</i>
"	10 "	3 z dołu choć	chuć (i dalej: była szpetną i nie mogła)
"	11 "	5 z góry czasu	czasów
"	12 "	15 " <i>ciągnęli</i>	<i>ciągnęła</i>
"	14 "	17 " zauwali	zauważali
"	22 "	2 " Dodając	Badając
"	— "	3 " przedsięwzięta	przedsięwzięta
"	24 "	4 " choć	chuć
"	— "	22 " powtarzane	powtarzam
"	25 "	8 " najniedogodniejszych	najniegodniejszych
"	26 "	8 " <i>żywotem</i>	<i>żywioteł</i>
"	— "	13 " usuwało	usuwał
"	— "	6 z dołu czasów	ciosów
"	27 "	6 " 146—137	146—147
"	28 "	20 z góry obstaają	obalają
"	— "	4 z dołu zaszczipiano... objawiło	zaszczepiana... objawiła.
"	29 "	3 z góry ostać	ostać się
"	— "	19 " przybitego	przybyłego
"	31 "	2 " dziele popularnym	dziele popularném
"	— "	1 z dołu zestawili	zestawić
"	35 "	1 z góry 1787	1797
"	36 "	13 z góry Michaton	Michalon
"	— "	14 z dołu po wyrazie: ziemianie zamknąć nawias.	
"	37 "	6 z góry pamięci	pamięć
"	39 "	15 " zmieniło	zmawiało
"	41 "	13 " historyja	historyk
"	44 "	15 " po wyrazie: istotnie dodać trafne	
"	49 "	20 " byłoby	było
"	— "	28 " była przed: niby opuścić	
"	— "	31 " zakalane	zakalone
"	50 "	16 " redakcyi	redukcyi
"	52 "	19 " w 3-im	w 3-ch
"	61 "	8 z dołu "pobożnych" ⁴	"pochożych" ⁴
"	65 "	13 z góry Połańcem	Polańcem
"	— "	21 " na dobre	na dobie
"	70 "	6 " ciągnę... zepchnięty	ciągnąc... zepchnęły go

SŁOWO WSTĘPNE.



Praca niniejsza była gotową w Lutym 1881 roku i nawet już się drukowała w Czerwcu, lecz z powodów niezależnych od autora ukazuje się nieco później. Sądzę jednak, że nie jest zapóźnioną, bo na recenzyje w takiej sprawie jak włościjska-szlachecka, zawsze jest pora.

Jestto przedmiot pierwszej wagi, mało znany szerszemu kołu czytających, a zwykle, pomimo świadectw mistrzów, fałszywie lub niedokładnie przez wielu tłumaczony dla jakichś ciemnych względów; każdy zatem przyczynek do rozjaśnienia onego, dobrze się tylko może przydać tym, co pragną poznać prawdę dziejową w istotnym jej świetle. Śmiało więc puszczaemy w świat niniejszą książkę, mając na celu jedynie wzmiankowany pożytek bezstronnych rodaków.

A. J.

„Krytyka, niegdyś w pieluchach, miana była za występek. Dziś powinniśmy się pozbyć i dziecinnego uwielbienia i z zdrości złośliwej. Krytyka nadaje ruch i życie literaturze, ale niech będzie sumienna, otwarta, ostra, bezwzględna, dzielnie osób; dla poczynających winna być więcej pobłażliwą, lecz dla tych którzy imię mają, surową i nieprzeblaganą“....

Kraszewski.

(Stud. literac. Str. 245—246).

Po długiej stagnacji wydawnictwa polskiego w Wilnie, kędy literaturze ojczystej przyszły dzieła najznakomitszych mistrzów naszych, zbiorowa książka na cześć Nestora polskiego, w roku 1880, była błogim zwiastunem zwrotu ku lepszemu, jakoż wkrótce prospekta ogłosiły całą seryją dzieł, mających wyjść w Wilnie pod inicjatywą znaniej autorki pani Elizy Orzeszkowej. Witaliśmy to przedsiębiorstwo gorącym sercem, tém bardziej, że zapowiadało treść ważną, kwestyje żywotne, a nazwiska wymienionych autorów stanowiły dostateczną rękojmią powodzenia. Między innemi wyczytaliśmy w prospekcie z nie-malém zajęciem o dziełku pana W. Przyborowskiego w kwestyi arcy-ciekawej włościijan polskich. O nióm jeszcze w roku 1879 „Gazeta Polska“ podała krótką, lecz bardzo pochwalną zapowiedź, nadmienając o *bezstronności* sądu autora, zaś „Gazeta Rolnicza“ w roku 1880 (ob. ~~№~~ 40—43) zamieściła niektóre fra-

gmenta z dzieła, a dalej „Gazeta Polska“ w grudniu tegoż roku (№ 289) w rubryce rozbiórów literatury i biblijografii, streszczając pracę pana P. wiele pochwał przyznała autorowi, równie jak i Ateneum w I-ym zeszycie za rok 1881. Lecz oto utwór pana Przyborowskiego leży już in extenso, o dwudziestu trzech rozdziałach przed nami i wywołuje niniejsze uwagi w imię historycznej prawdy, której szanowny autor, *biorąc rzeczy względnie*, dość wybitnym jest przedstawicielem. Głównem zadaniem autora było, wyświecić na powadze źródeł smutne dzieje ludu polskiego, lecz zarazem, trzymając się metody porównawczej udowodnić, że pomimo swawoli i chciwości szlachty, tudzież nędzy uciemiężonego poddaństwa, ani szlachta nie była tak złą, ani znowu lud tak nieszczęśliwym, jak gdzieindziej.

Chęć piękna, i któżby niechciał przekonać się o tak pocieszającym fakcie z odmetu dziejów ojczystych wydobyty; niestety tylko, że to zachcenie, jak się przekonamy jest mrzonką szkodliwą, o której nam marzyć nawet nie wolno. To też považam się twierdzić stanowczo, co mi zresztą każdy bezstronny po odczytaniu niniejszej recenzji przyzna, że szanowny autor podejmując się apologii szlachty na zasadzie przytoczonych faktów, pomimo arcy-tendencyjnego rozumowania, zgoła nie wywiązał się z zadania, przez co i samo dzieło nie może być dotyla użytecznem dla szerszego koła czytelników, jak na to zasługuje ze względu wyjaśnienia gołych faktów.

Znamy mniej więcej źródła dotyczące sprawy ekonomiki naszej i ludu, i wyznać musimy, że praca pana P. o ile z jednej strony jest zbiorem dość dokładnych, chociaż i nie bez usterek czasem, wiadomości w tym przedmiocie, o tyle prawie ciągle grzeszy wywodami i wnioskami, słowem jest to obraz pełen niezwykłych, zdumiewających sprzeczności... Póki autor opowiada dzieje, póty jest gruntownym, bez zarzutu prawie i obudza ciekawość w czytelniku; lecz skoro wnioskuje o dziejach i wysnuwa z nich poglądy, to takowe chyba odpowiadają tylko fałszywemu założeniu dzieła t. j. *uporczywej chęci* bronięcia szlachty; więc owa dziwna sprzeczność sądu autora z faktami wywiera na umyśle, szczerze badającym, wątki rozumowania, najprzy-

krzejsze wrażenie, często graniczące z oburzeniem i nastęcza pytanie, czemu téż ciekawa skądinąd, chociaż wcale nie wyczerpująca przedmiotu praca, tak dalece zakażoną została niewłaściwym, nieprawdopodobnym dobozem wniosków?... Przedewszystkiém, przypisując dziełku względną wartość, zaś autorowi najlepszą wolę i dobrą wiarę, musimy wręcz odmówić trafności założenia, tudzież przyznać zupełną niemoc dowodom, będącym ciąglém zaprzeczaniem faktów niewątpliwych, które nietylko nieprzekonywają uważnego czytelnika o tém, co autor silił się koniecznie narzucić, lecz przeciwnie, utwierdzają na gruncie prawdy historycznej, przez autora wyjaśnionej i zwracają ciągle krytyczny zmysł czytającego przeciwko zasadniczej myśli dzieła... Utwór ten, mojem zdaniem całkiem chybia zamierzonego celu, gdyż pomimo hazardownych wniosków autora, jest raczej zbiorem niewzruszonych dowodów winy absolutnej szlachty, od kolebki ojczyzny aż do jój grobu, nie zaś materyjałem, służącym ku obronie kasty, jak chciał tego autor koniecznie... Pan Przyborowski ma już miejsce w literaturze, z nim się trzeba liczyć, dlatego téż rozpatrzmy dziełko jego, wykażmy obok zalet słabe i szkodliwe strony, które będąc wynikiem mylnéj chęci autora, płodem błędnej wyobraźni, nie powinny się przyjmować łatwowiernie za ekstrat prawdy historycznej...

Mojem przeto zadaniem będzie nie tyle krytyka podanych faktów, ile, i przeważnie, *wniosków autora*, w celu sprostowania błędu, zwłaszcza, iż godna podziwu stanowczość rozumowania, wbrew rażącej sprzeczności faktów, może obalamucić mniej świadomych przedmiotu. Jakkolwiek sąd mój może wydać się surowym, postaram się takowy usprawiedliwić własnymi słowy autora, bo tylko żądza prawdy podała mi pióro do ręki.

Na wstępie autor streszcza w ogólnych zarysach swój pogląd i odrazu wpada w sprzeczność, która aż do końca, że tak powiem sam paradoksalnie, systematycznie zanieczyszcza utwór jego.

I tak, autor chociaż sądził pierwéj, że „dziesięciowiekowy dramat był koniecznym *następstwem* długiego błędu i *zbrodni*,“ że szlachta była „*bezmyślną, półkrwawą, półzbojecką czeredą*,

puszczającą w hulaczym szale trud chłopa“ (str. 1—2) jednak zgłębiwszy źródła dziejowe (!) przekonał się (!) o niesłuszności pierwotnego sądu, zwłaszcza, zestawiając byt naszego chłopa z ludem innych krajów, skąd się okazuje, że pomimo nawoływania „*niepowołanych historyków*“, (?.. 2) „*kmieć nasz żył prawie jak w raj*“, (tak!) a co, jakoby, powinno ulżyć „*niejednemu sumieniu, trapiionemu mrocznemi widmami, budzonymi przez nowoczesnych szarlatanów*“, (?!! str. 3).

Widzimy więc, że autor jest *nawracającym*, żarliwym prozelitą... rzecz jednak dziwna, iż przyznając „*rajski stan*“ gminu naszego przyznaje i okropności ze strony szlachty wyświadczone ludowi, które doprowadziły „*do wylania morza krwi bratniej*“, „*wszczepiły gangrenę w ciało Państwa Polskiego, na którą Rzeczpospolita umarła*“... (str. 2). Lecz jeśli do tych znaczących ogólników dodamy pocieszające refleksyje autora, mianowicie: że tyranija praktykowana u nas nie była wytworem polskim, jeno naleciałością obcą, (str. 2) żeśmy zresztą *później od sąsiadów włożyli kajdany na ręce naszych kmieci*“... to zrozumiemy dla czego nie zbyt trudno mu było „*obrabiać—jak powiada—materiał surowy, dla wydobycia z niego bryłki czystej prawdy* (!!... str. 3).

W rozdziale I-ym autor poznajamia czytelnika bardzo dowolnie ze znaczeniem „*Opola*“ pierwotnych plemion lechickich; bądźco bądź dowiadujemy się o panującej zasadzie gminnej i niemal komunistycznej w ówczesnych urządzeniach ludu polskiego, kędy swoboda osobista i niezależność stanowiły główną cechę. Organizacją opola wiąże autor swobodnie z „*bractwem*“ Kurpiów, zagrzebanych w niedostępnych puszczech. Bractwo to, jakkolwiek było solą w oku szlachty, (str. 4) z powodu, że dla nieszczęsnych jęj niewolników stało się przytuliskiem, wszakże wolny od jarzma panów stan Kurpiów działał, że kiedy później wszędy lud nędzny poddańczy zgoła się nie troszczył o los ojezyny, *najazdy Szwedów długo pamiętały Ostrołęckie puszcze*“... (str. 14) kędy, zauważmy, pomiędzy *wolnym ludem*, *wyrobiła się energija i miłość głęboka dla kraju, nieznaną u reszty chłopa polskiego*“... (str. 15). Ten jeden fakt chociażby, jakże jest znaczący dla historyka i badacza dziejów ojezystych!

Ale autora on nie uderza wcale na korzyść dziejowej prawdy. Potem zajmuje nas autor opowiadaniem, zaczerpniętém bodaj z Długosza i Bielskiego, o okropnych nadużyciach i łupieży, już w wiekach XI i XII przez szlachtę praktykowanych w razie jej wędrówek po kraju, do takiego stopnia, że dwa Synody Łęczyckie rzucają klątwę na „ciemieżycieli biednych kmiotków,“ co jednak nie mogło „ukrócić nadużyć,“ zakorzenionych głęboko, (str. 17—18). Zrobimy jednak uwagę, że autorowi dziejów Kmiecia Polskiego, mówiąc o stosunku jego do panów przed wiekiem XI-ym, należało wspomnieć o odmowie sławnego Sylwestra II, papieża, korony Bolesławowi Chrobremu, z powodu barbarzyńskiego ucisku kmieci przez szlachtę, o buncie kmieci po śmierci Chrobrego i według Nestora *wymordowaniu panów*, o strasznie krwawém powstaniu ludowem za Kazimierza Mnicha, z czego korzystał wiarołomny Masław, wreszcie o równie krwawych rozruchach za Bolesława Śmiałego w 1077 roku, w czasie których tysiące rodzin szlacheckich znalazło śmierć męczeńską, o tém, jak późniejszy odwet szlachty zastrzył stosunek panów z ludem nazawsze. Wszystkie te fakty, rzucając światło na przedmiot, wskazują, że „*drapieżstwo szlachty*“ — jak się wyraża Naruszewicz — wcześniej dawało się we znaki biednemu ludowi i wywoływało ich zbrojny opór, słowem, bratobójstwo...

Stąd wypływa logiczny wniosek, że skoro tak sobie poczytało rycerstwo nasze niemal w kolebce dziejów, kiedy jeszcze władza panującego nie była przez nie okiełzana, musiało więc ono brnąć stopniowo przez chciwość w anarchiją i nareszcie wywołać zamęt w stosunkach społecznych i zgubę kraju. Tak też się i stało w samej rzeczy, co i autor z jednej strony wykazał, lecz z drugiej domieszką własnego sądu zaćmił całkiem prawdę.

W rozdziale II opowiedziane są dzieje dalsze ujarznienia kmiecia, do czego w wieku XII-ym przyczyniło się rozdawnictwo „dóbr klasztorom i zasłużonym w wojnach i usługach państwa,“ przez co lud przechodził „*pod cięższą i bezpośrednią władzę pana*,“ (str. 21) zwolna z niezależnego stał się poddanym jednostki lub instytucji, która *starala się go wyzyskać jaknajbar-*

dziej;" autor słusznie dodaje, że system nadań „zmienił zupełnie ustrój stosunków rolnych i społecznych, wydziędziczał kmiecia i z czasem całkiem go ujarzmił“ (str. 22). Czytamy dalej o stronnych i przedajnych sądach kasztelańskich, kędy i chłop książęcy nie mógł zaznać sprawiedliwości i „z zazdrością poglądał na swego brata osiadłego na gruntach klasztornych;“ (str. 24) że za piastów jeszcze, „polskie prawo, gniojące ciężko kmiecia, nie mogło stanowić ponęty dla kolonistów niemieckich, musiano więc przybywającym niemcom dawać“ *wolę* „i samorząd, co było wyjątkowym przywilejem wobec biednego kmiecia polskiego“ (str. 26). W końcu autor, przedstawivszy dobry i odosobniony stan kolonistów na Szląsku w wieku XIII, mówi, że kmiecia naszego „wabila wieś niemiecka, *jak coś o czém on je-no we śnie marzył*,” że go „własny stan boleć musiał, zwłaszcza, iż ojcowie jego żyli w lepszych warunkach, w swobodzie starosłowiańskiej;“ przeto zbiegostwa kmieci były już częste „zpod władzy książęcej i patrimonijalnej;“ aż za Leszka Białego postanowiono srogie prawa na uciekających, więc kmieć „*koleją, rzeczy spaść miał w czarną otchłań pańszczyźnianej doli*“... (str. 28). Wszystkie te ogólniki płyną ze źródła czystej historycznej prawdy i wieleby nauczyć mogły zostawione domysłowi samego czytelnika; lecz na biedę, autor, umiejący dziwnie przerzucać zdanie z jednej ostateczności w drugą, jak przekonamy, następnymi wnioskami zaprzeczył zupełnie wszystkiemu, co powiedział wyżej.

W rozdziale III-cim wyjaśniony wzrost potęgi szlacheckiej od wieku XII do XIV. Tu widzimy jak szlachta zdobywa prawo sądów patrimonijalnych nad **krudem**, które, ze wstydem wyznać należy, dla niej „*stanowiły obfite źródło dochodów*“... (!) a co gorsza, iż *dla tego się ubiegano o ten przywilej*...“ (str. 32—33). „Ale były to tylko początki, zapowiadające *groźną i smutną przyszłość dla kmieci*“... i dodajmy zarazem tłustą obławę dla „*rojnej, bujnej społeczności szlacheckiej*“ (str. 32).

Należy zauważyć, że **chać** wzbogacania się w świątyni Temidy przez „*wymiar sprawiedliwości*...“ była co najmniej szpetniejsza i nie mogła nie kazić *dziedzicznie* charakteru kasty, która tak

rychło zapomniała o rodzimój zasadzie braterstwa, wyniesionój z kolebki słowiańskiej...

Zacierała się tradycyja świętėj swobody od chwili, jak tylko stan rycerski przez wojny urastał w znaczenie i zdobywał niewolnika na własność, co mu już od czasu Bolesławowskich zaprawiało serce do ochydnėj tyranii, którą się późnėj splamił na braciach swoich rolnikach... Pan Przyborowski trafnie zaznacza fakt demoralizacyi szlachty przez władzę bezwzględną nad niewolnikami i mówi, iż uprawiane niewolnictwo ludzi branych na wojnie, było „smutną, złowieszczą przepowiednią dla biednego kmiecia polskiego,“ (str. 33) że „budziło zazdrość w tych, którzy ludności niewolnėj nie mieli i zdrożne nasuwało im myśli...“ zwłaszcza, iż klasa niewolników, „ze stanowiska ekonomiki średniowiecznėj, była *najlepiėj procentującą*...“ (!) a chociaż „całkiem nieznaną w słowiańszczyźnie lechickėj, uprawiała jednak odtąd zasadę niewoli ludzickėj w Polsce“ (str. 34). Autor, naszkicowawszy przykry, złowieszczy obrazek, z dodatkiem wróżby nawet, natychmiast spieszy osłodzić wrażenie dziwnymi ogólnikami: iż jakkolwiek źle się działo wtedy, jednak daleko było do ujarznienia ludu przez szlachtę, bo chłop jeszcze „*siedział u Boga w wiecu*“ (str. 34)?... Ten cudzysłów wyjęty z tradycyjnėj pieśni świętego Wojciecha, zastosowany do kmiecia polskiego, bezwarunkowo jest za śmiały, ponieważ śledząc uważnie i szczerze bieg dziejów naszych, można nabrać niewzruszonego przekonania, iż ujarznienie ludu w polsce rozpoczęło się równo z instytucyją rycerstwa i każda niemal chwila przynosi nam dowody systematycznėj dążności ogółu szlachty do podbicia całkowitego kmiecia. Najgorsza wola ogółu względem ludu przemagała zawsze pojedyncze i szlachetne popędy zacnych obywateli, co zresztą potwierdzim nie raz świadectwem samego autora. Więc zawracanie ciągle i umyślne uwagi czytelnika do fatalnego celu dzieła, przykre na nim robi wrażenie; oskarżenia nieustannie zmieniają pocieszające refleksyje, co i nuży i niepokoi czytającego z uwagą.

I tak na str. 34 autor mówi, że pierwsze kroki szlachty na drodze „złotėj wolności,“ za Kazimierza W. stawiane, doprowa-

dziec ją „*musiały do niewoli obcej*“... Z tém wszystkim łagodząc wyrok dodaje znowu paradoksalny komentarz: że zwierzchność szlachty nad ludem wtedy nie była jeszcze wybitną, gdyż wiele wsi zostawało na prawie niemieckiem i królewskiem, chociaż te ostatnie, zauważmy, krzywdzone na sądach kasztelańskich (str. 24) cierpiały téż pośrednio krzywdę od szlachty. Dalej znowu, jakkolwiek autor chce usprawiedliwić szlachtę jej niskim poziomem umysłowym i moralnym, co ją miało zbliżać do ludu, „*gdyż obaj śmierzdzili kozuchem*“ i żyli, jakoby, za pan brat, (str. 35—36) jednak to wcale nie potwierdza wniosku jego i nie wyświeca braterstwa chłopa z panem pod firmą karczmy i brutalstwa, skoro na stronicy 37 sam autor zaznacza w szlacheie zdjętej przykładem sąsiadów (!) żądzę wzbogacania się i „*ucisk który głównie panował w Wielko-Polsce, tam gdzie rojna, drobna bracia szlachta obsiadła folwarki i „ciągnęła zyski*“... Oczywiście więc ucisk był największy, kędy najwięcej było żywiołu, stanowiącego przedmiot oskarżenia i obrony zarazem autora.

Wtrąćmy uwagę: czy to śmierzdenie obu kozuchem nie przypomina dzisiejszego stosunku chłopa ruskiego do brata „*Kułaka*“, „*mirojada*“, który tak dobrze woniejąc jak i najpospolitszy wieśniak, wyzyskuje z niego co można, bo jest pretendentem na milionowego Sołodownikowa i t. d. I cóż to mi za proces ducha obywatelskiego?!... Porzucmyż niedorzeczną kwestyją pobratymstwa szlachty naszej z kmieciem za pośrednictwem śmierzdzącego kozucha i dodajmy, że autor sam mówi, iż „*wiek XIV zastaje już kmiecia w znacznie pogorszonym stanie i budzi obawę w Kazimierzu W.*“ jakoż ten doradzał „*krzesiwo i hubę*“, specyfik na ciemieżców, który później upamiętniony faktycznie, „*wykopał niezgłębioną wiekami przepaść pomiędzy obu stanami*“... że kiedy lud zrozpaczony zaczął uciekać światami z ojczyzny, szlachta „*złowroga*“, ustawą Wiślicką (str. 39) ogranicza najważniejsze z dobra człowieczego—swobodę osobistą, co już *było ulegalizowanym zamachem na kmiecia*“... (str. 37—38).

Rozdział IV naprzód poznajamia nas ze statutem Wiślickim, który się „*żywo zajął kmieciem, przeważnie na jego niekorzyść*, co dowodzi *już przewagi*, jaką miał w sprawach krajo-

wych stan szlaehecki“... (str. 40). A więc przewaga szlachty już wcześniej tylko na niekorzyść młodszych braci działać umiała!... Niezawodnie; jakoż idąc za autorem widzimy, że szlachta, „*wyzwalając się coraz bardziej z ciężarów państwowych*,” nie cierpiąc wszelkich przywilejów klas innych, rzuca się zawzięcie na organizacją samorządu sołtystw, skąd się wywiązuje długa, rozpaczliwa walka i kończy się „*nieustannemi zwycięstwami szlachty na niekorzyść słabszego*,”... (str. 43). Ale oto i pakt Koszycki zwęgrzałego Króla Loisa, który na rzecz „*rojnego rycerstwa*“ zrzeka się prawa ziemskiego (str. 44) i oddaje tej rzeszy całkiem jurysdykcją nad kmieciem, tak pożądaną dla „*korzyści materialnych*,” odtąd więc (?) szlachta ma w swém ręku *jus ducale* i poczyną nosić (?) *dumny tytuł dziedziców* (str. 45). Bądźcobądź autor przyznaje „*zręczne, uderzające swoją niewzruszoną systematycznością*“ postępowanie szlachty i jakby chcąc odkryć pocieszające wskazówki zapytuje: kędyż ona brała wzory?... Rzecz naturalna, odpowiedzieć łatwo, skoro się ma zamiar zwać winę na kogo innego, więc i autor znajduje zgubne przyczyny rodzimój sromoty w otaczającym Polskę sąsiedztwie... Ruskie istotnie nędzne „*raby*“ odgrywają tu rolę owocu zakazanego dla szlachty... (str. 47) a statut Wiślicki nie może się oprzeć pokusie i „*zapożycza*“ przepisy „*drakońskie*“ od Rusi, co było „*zamachem na swobodę kmieci*“... (str. 48). Biorąc rzeczy względnie można w tém odszukać odrobinę prawdy, lecz zaliż to usprawiedliwić choć w części jest wstanie szlachtę naszą?! Metoda porównawcza pana P. wobec prostej zasady moralnej całkiem jest fałszywa, témbardziej, że, jak zobaczymy, na szali ścisłej sprawiedliwości zgoła nie podnosi chwały szlacheckiej. Jeśli wartość i wagę swęj zbrodni bezstronnie porównywać będziemy z cudzą, to sędzę, iż chyba czarniejszą i cięższą nam się nasza wydać powinna, gdyż szlachta polska *pełnowładna*, jak nigdzie, stokroć jest odpowiedzialniejszą za czyny, których skutki wzięła *wyłącznie na siebie*. Szlachta innych krajów *była czémś*, lecz nasza *była wszystkiem*, winną przede to jest wszystkiego, zwłaszcza, iż bezmierna jęj pycha, gwałty, samowola, samolubstwo, rozpusta i bezczelność wyglądają

o wiele potworniej, ze względu na zasadę pierwotną równości słowiańskiej, niż dzikość władców ludu, z innej kolebki duchowej pochodzących.

Ale autor, niebaczając na tę arcyważną, psychiczną stronę kompromisu międzynarodowego w sprawie ludowej, postanowił koniecznie uspokoić sumienie potomków „rojujnej rzeszy szlacheckiej,” więc w następnych Rozdziałach V-ym i VI-ym opowiada o strasznych uciskach gminu gdzieindziej. Tu znajdujemy krótkie zarysy smutnych dziejów poddaństwa we Francyi i w Niemczech, skreślone z umysłu, aby przekonały czytelnika, iż „Polska brała stamtąd wzory i podług tych urządziła byt swoich własnych włościjan,” wszakże jakoby pocziwiwiej nieco... a chociaż autor woła z oburzeniem, iż to było „stokroć smutne następdownictwo“ (str. 62), choć boleje, że „Niemcy swym jadem poddaństwa i wyższości rasownej nad chłopem Polskę zaraziły i tém najboleśniejszą krzywdę jej uczyniły,” (str. 70) jednak przyznaje na inném miejscu, jakeśmy już zauważyli, że „prawo polskie, gniotące kmiecia polskiego,” jeszcze w czasach Bolesławów odstręczało kolonistów niemieckich, więc ich „przywabiać trzeba było znacznemi korzyściami“ (str. 26).

Gdyby tak źle było germanom u siebie, czegożby się lękali Polski? Kto tu komu groził, kto mógł jad zaszcześcić?... tém bardziej, że według słów autora „w Niemczech kaźden wieśniak był istotnym właścicielem ziemi“ (str. 63), a we Francyi pomimo praktykowanych nadużyć, „dla chłopca wiek XIV już zapowiada jutrzemkę swobody“ (str. 61).

Pytam: czy też to nie są zdania uderzające sprzecznością? czy wnioski powyższe, wszystkie razem mogą być brane na serio? Ale idźmy dalej po tych wątplych szczeblach rozumowania autora...

W Rozdziale VII autor rozpatruje stosunki ekonomiczno-społeczne Polski wieku XV, kędy widzimy zawsze też same „systematyczne“ podboje szlachty we własnej ojczyźnie, z krzywdą niższych klas dokonywane; chociaż, zaznaczamy, i tu autor wtrąca uwagę, że szlachta brała się jeszcze do dzieła „bojaźliwie (!) i zachowywała formy kolegijalne“... (str. 72) (!). Lecz jak-

że to zdanie da się pogodzić z wyrażonem na stronie 45, gdzie mowa o postępowaniu szlachty jeszcze w XIV wieku „*zręcznym, uderzającym swoją niewzruszoną systematycznością*“?... Pokazuje się, że od początku szlachta tak bojaźliwa, jak chce autor, nie była, bo i logiczne następstwo faktów historycznych potwierdza rycerską niemal odwagę szlachty w przedsięwzięciu zdobycia bezwzględnej wolności panowania nad krajem... i ludem jego. Po co prawdę w bawełnę obwijać mówmy ją głośno!...

Lecz oto autor poznajamia z treścią statutu *Warteńskiego*, pozwalającego „*drogą przymusu*“ sięgać po sołtystwa, a „*sołtysa teraz urzędownie zwać buntownikiem*. Oczywiście ustawa oddawała ich bezwarunkowo w ręce szlachty“... Natychmiast jednak autor stara się upewnić, że „*szlachta nie odrazu skorzystała z tego prawa*“ (str. 73)?.. Naturalnie, bo tłustego obiadu z wielu dań złożonego nie połyka się razem, jeno się zjada od pierwszej do ostatniej potrawy, chociażby konsument miał apetyt wilczy... Tak też zrobiła i szlachta; wyjednałszy w roku 1423 wyrok na sołtystwa, porwała się na nie bez bojaźni i bez form kolegijalnych, według słów paradoksalnych samego autora „*tlumnie*“ (str. 73) a „*z upadkiem sołtystw, upada koniecznym następstwem rzeczy i niezależność sądownicza i administracyjna gmin na prawie niemieckiem*. Teraz szlachta, *powaliwszy główną zaporę wprost zmusza (!) wsie do zrzeczenia się tego prawa*. Niektórzy dziedzice znoszą je mocą własnej woli; *niekiedy zbrojną ręką dziedzic rozpedza wiece kmieci*, dość, że w połowie XV wieku *prawie wszystkie wsie na prawie niemieckiem podlegają jurysdykcji patrimonijalnej*...“ str. 74 Z tych świadectw autora, ściśle historycznych, kędyż da się dpatrzeć owa bojaźliwość szlachty i to jakoby powolne korzystanie z ustawy *Warteńskiej*, która w ćwierć wieku dobiła niezależność sołtystw i zagrzebała je na zawsze w chciwości nienasyconej szlachty?... Niech na powyższe pytanie będą odpowiedzią tylko co przytoczone własne słowa autora... Dalej autor mówi, że po zwalczeniu sołtystw, szlachta wytepiła resztki gminowładztwa, że z „*krzykiem woznego na mogiłach*“ „*kładły się w mogiłę resztki starosłowiańskiej gminy*“ (str. 75). Autor chcąc ciągle tłumaczyć inwazyje

szlachty w swobody ludu i tu wyjaśnia, że się to wszystko działo w skutek „budzącój się w wieku XV-ym *skrzetności gospodarczej* (str. 74)?!! w obec potrzeb (!) rozwoju ekonomicznego kraju“ (str. 75)?!!.. że szlachcic teraz z niezwykłym zapalem oddawał się gospodarce (str. 77)?!! a choć nadużywał w chciwości i odsunął kmiecia bezwarunkowo nisko (str. 77), może być niejako usprawiedliwionym, bo w naturze ludzkiej leży chęć wzbogacania się cudzym kosztem... (str. 78)?!!

Ależ te twierdzenia wyglądają chyba na żart, gdyż w obec prostěj moralności nie godzi się takich zasad dziejopisowi wygłaszać; gospodarność zaś szlachty, w dobie opowiadania, wcale faktem historycznym nie jest. W wieku XV, mówi pan Przyborowski jakby na przekorę uprzednim twierdzeniom, „gospodarstwo polegało głównie na kmieciu, grunta dworskie, folwarczne były jaknajmniejsze, gdyż szlachcic nie miał czasu gospodarzyć na roli, zajęty bujnie *rozwijajacem się* w kraju życiem politycznym, wojną lub zjazdami“ (str. 92).

Jeśli więc nie gospodarzył w wieku XV, to czyż mógł później brać się do rolnictwa z zamiłowaniem fachowem, kiedy stosunki społeczne w Rzeczypospolitej pogorszyły się przez rozbewstwienie téjże saměj szlachty?! Niezawodnie, iż późniejsze rozszerzenie się folwarków zgoła nie było faktem rozbudzonego zmysłu gospodarczego w szlachcie, jeno skutkiem jěj chciwości, było raczej wyzyskiem kmiecia osoby i majątku, gwałtem niepolitycznym, przed świtem ruiny kraju!..

To co nam zjednało w wieku XVI sławę gospodarzy, posiadających jakoby „*szpizarnię dla Europy*“ w rzeczywistości jest hańbą wszechwładnej kasty, dowodem, iż wszelka krzywda, kłamstwo i fałsz, chociaż na dobie znajdują poklask i zażywają swobody działania, wskutek praw rządzących w naturze muszą się wykoleić z torów złudnego szczęścia i runąć pod pręgierz nieubłaganej prawdy... Gdzieindziej krwawe rewolucyje zagrzebały tyranów, my zaś sami wykopaliśmy grób ojczyźnie, a tysiączne okoliczności tak się złożyły, iż zamiast zaguby kasty, winowajczyni smutnych losów kraju, zginęło wszystko, a przyszłość rozpościera się przed nami jak przestrzeń nieprzej-

rzana!.. Owa okrzyczana gospodarność nasza, która jak *deus ex machina* miała się zjawić w wieku XVI, jest błędem grubym pisarzy; powtarzano go lekkomyślnie wiele razy, bez najmniejszego krytycznego sądu o istocie rzeczy. Nawet pan Stawiski się omylił i później już rehabilitował swe zdanie. Nie tu miejsce pisać o tém wszystkiém; ten przedmiot szeroko rozpatrzyliśmy w osobnej pracy, którą podamy na sąd bezstronnych ziomków, tu tylko nadmienić wypada, że pomimo pozorów, Polska niebyła nigdy rzeczywistą spiżarnią Europy, a gospodarstwo nasze pod mikroskopem prawdy bezwzględnej przedstawia się jako drapieżny wyzysk dziewiczej przyrody i siły roboczej chłopą, którego potrafiiono wprzódz w ciężkie jarzmo, zwłaszcza po becznej ustawie Olbrachta...

Właściwie gospodarstwa porządnego nigdy u nas nie było, chyba w wyjątkach, za to grabież darów hojnej natury ujawniała się w sposób rozmaity i niezawodnie hańbiący przeszłość szlachty.

Umysły stronne, fałszywą ambycją nasiąkłe i powierzchownie rzeczy biorące, w skardze Kochanowskiego na przekuwanie zbroi na pługi widzą świadectwo gospodarności; a czemuż nie pomną oni, że wieszcz Satyrowi precz się każe wynosić od gospodarstwa takiego, że mówi o panach, jako „*wino w się niby w beczkę leją?*!” Zniewieściła rzesza ex rycerzy, co prawda, przekuwała zbroje nie przez gospodarność, jeno czując zysk potrzebny na zbytki, które Kochanowskiemu wkładały w usta proroctwo, iż „*Rzeczpospolita zginąć musi!*...” Oto treść najślawniejszej u nas epoki ekonomicznej co nam zawraca wciąż głowę. Zbytek, rozpusta, pieniactwo, burdy, gwałty i t. p. rzeczy nie mają nic wspólnego z cnotliwym, pracowitym, cichym żywotem rolnika. Ogół szlachty, z tytułu tylko, gwałtem przywłaszczonej własności, nosząc nazwę ziemian, nigdy tych ostatnich przymiotów nie posiadał i chyba beczelne kłamstwo zrobiło przodków naszych ryczałtem gospodarzami. Dziedziczność usposobień spłynęła na potomków, giniemy z przechwałką na ustach!..

Ale żaden najpoważniejszy ogólnik nie zdoła wybielić tre-

ści dziejów naszych, jak również najśrodszy sąd nie jest wstanie być zanadto stronnym dla nas i chyba tylko szczerą pokorą i żarliwą chęć restytucyi zdoła oczyścić sumienie potomków...

Rozwijając nieco trywialnie zasadę rozumowania pana Przyborowskiego, należałoby powiedzieć: zabiłem dla korzyści własnej, wszakżem nie winien tak bardzo, gdyż rozbijano sto kroć zajadłej i okrutniej w sąsiedztwie, a ponieważ natura ludzka niedobra wogóle, przeto moja wina maleje i ja zawsze jestem czyściejszy, godniejszy rozbójnik niż tamci i owi... Prawo do tak niemoralnego wniosku daje mi sam autor, z czego się usprawiedliwię dokładnie w dalszym toku recenzyi, bo to zaledwo początek wykazu sprzeczności i najnieprawdopodobniejszych zdań autora.

Rozdział VIII streszcza smutne fakta, wręcz przeczące wszystkim przytoczonym wnioskom pana P. bo jakkolwiek autor twierdził stanowczo, że chłop polski w wieku XV jeszcze nie cierpiał bardzo, tu przecie pisze o ruchu włościan już nawet „w połowie XV stulecia, mającym wyraźne oznaki oporu przeciw szlachcie i jej dążnościom; lud bowiem widząc jak szlachta coraz bardziej go podporządkowuje pod swe widoki i cele, nie chciał uleść odrazu, abdykować ze swęj niezależności. Nie mogąc znaleźć sprawiedliwości i obrony przeciw uciskowi, gdyż sądy teraz były w ręku pana, kmieć począł objawiać pewien opór, ruch, który spostrzegać się daje *na całej przestrzeni Rzeczypospolitej*, a w dwóch miejscach wybucha nawet zbrojne powstanie“ (str. 82). Dalej autor pisze o nieludzkiem postępowaniu szlachty które zdemoralizowało włościjan, tak, że pierwój ci ludzie „cisi, spokojni, zakochani w swojej roli, teraz występują w jaskrawych barwach zmysłowości, rozpusty, gwałtu;“ „między ludem zagęszcza się nieślubne pożycie, gwałcenie kobiet, pijaństwo i t. d.“ Jedni uciekają w noey całemi wsiami „z powodu ucisku dziedziców, zostawując rolę pustkami,“ inni w rozbewstwieniu rozpaczнім „oddają się złodziejstwu, nawet fałszowaniu monety.“ Kędy gnieździła się szlachta najobficioj tam „ucisk w tój porze jest największy, więc kmiecie często porywają się na dziedzica i zabijają, a łny krwawych pożarów dają znać,

że lud bez oporu uledez nie chce (str. 83).“ „Palenie wsi szlacheckich staje się rzeczą nader pospolitą (str. 85). „Religijny, wierzący kmięć poczyna lekceważyć duchowieństwo, gardząc kościelnym obrządkiem“ (str. 84). Ale tu autor znowu zrzuca część winy na nowatorstwo husyckie, przeniekle jakoby do umysłów włościjan polskich, chociaż sam wyjaśnił, że chłop nasz zrozpaczony o wolności w ojczyźnie „pielgrzymował do Czech i Szląska po nadzieje utraconej i znowu zasłyszanej swobody...“ (str. 84).

Autor, konstatając powszechne wrzenie i niechęć ludu dla ciemieżców (str. 89) posuwa się zadaleko może i mówi bardzo znacząco, że „*materyjał był gotowy i trzeba było tylko iskry, by wpadła w niego i rozniecila wielki płomień, który, Bóg (?) jeden wie, jaką koleją potoczyłby przyszłość narodu*“ Autor, *apologista szlachty* kończy wreszcie zdumiewajacém czytelnika ubolewaniem, mianowicie: że „*takięj iskry, niestety (!) nie było!..*“ (str. 84). Myśl ostatnią zaznaczamy bo istotnie to ubolewanie jest wyrazem prawie demagoga, dziwnie brzmi w ustach obrońcy i nie może nie wzbudzać zdumienia, zwłaszcza, iż na str. 86 autor, wspominając o ludowém powstaniu Muchy w Sanockiém, r. 1491, przypisuje powód sąsiednim Węgrom, kędy bezwstyd panów zniewalał lud do buntów, a te pobudzały i naszych Rusinów do „naśladownictwa, *lecz chłop polski jeszcze (?) w tęg porze nie miał powodu (?)*“ powstawać. Cóż to jest?.. Na stroniej jednak 89 mówi autor wręcz przeciwnie, o piorunie z „*chmury ludowęj, gromadzącęj się teraz nad całą polską*“ i strasznej zemście szlachty litewskiej na ludzie za powstanie Lejczysa, skąd urosła gminna przypowieść, „*że łatwiej chłopu przyjdzie się dostać do nieba, niż panom, obciążonym łupami i rabunkiem...*“ a na str. 90 znajdujemy w kilku wierszach prawdę, błąd historyczny i sprzeczność z tęg wszystkiém co twierdził autor wyżej i później, mianowicie: że po zniesieniu powstania Muchy i Lejczysa szlachta „*całym szeregiem surowych niezwykłych przedtęm (?) u nięj środków tak w życiu prywatném jak i publiczném*“ (??) gnębi chłopa i „*kladzie na swobodnym dotąd (??) kmięciu ciężką dłoń niewoli...*“ Co to takiego?..

Dat najwidoczniejszej niewoli kmiecia z ust autora przytoczyliśmy już kilka, atoli każdą razą autor zaprzeczył sobie niżej i datę ujarznienia odłożył na później, to też ostrzegamy, że i niniejsza tak stanowczo wypowiedziana nie jest wcale rękopismą historycznej prawdy w dziełku pana P., bo jak się przekonamy, autor nawet w ostatnim wierszu swjej książki, opowiedziawszy wprzód najstraszniejsze rzeczy, każe się cieszyć niewinnie, żeśmy tak źli nie byli, a chłop nasz mniej zaznał nieszcześcia niż gdzie indziej...

W Rozdziale IX pan P. dociągnawszy opowiadania do daty Olbrachta kiedy się stał zamach stanowczy na kmiecia, broniąc szlachtę, wpada w dziwną parodaksalność. Czytelnika ciągle uderza fakt, że autor, tak poważnie określający znaczenie dzieła swego, wspiera swoje dowody na rażących sprzecznościach które nie bez przykrości notujemy.

Rozdział niniejszy zawiera myśl zasadniczą, że nie chciwość szlachty wywołała w roku 1496 smutnej pamięci ustawę przytwierdzenia chłopu do dominium, *lecz zbiegostwa* (!) tychże chłopów na Ruś i kędy można było. Czyż się godzi dziejopisowi tak plątać pojęcia!? Zapytujemy więc dlaczego chłop uciekał całemi siołami *w nocy*, z ojcowizny? Czy że mu dobrze było?.. Od kogo zależało *moralnie* przytwierdzić kmiecia do ziemi, a raczej, kto kmiecia słowiańskiego przywiązanego do ziemi tradycyjnie powinien był od niej nie odstraszać?.. Wszak do ucieczki zmusił kmiecia, według słów samego pana Przyborskiego „*systematyczny*“ ucisk, długo przez szlachtę praktykowany, wskutek czego wcześniej jeszcze miały miejsce zbiegostwa (str. 37) i ludowe powstania w Koronie i Litwie jaskrawo naszkicowane przez autora.

Nasz chłop z przyrodzenia kochający domowe bogi i ziemię, jeśli odbiegał puścizny, świętej dla niego, zaprawdę, musiał być chyba doprowadzonym do ostateczności, co też i autor skądinąd dokładnie wykazał. Dla czegoż mówi, że „*wina*“ ustawy było zbiegostwo kmieci, a sama ustawa „*bardzo chwalebny* *czynnem ekonomicznym* w obec krytycznego położenia rzeczy (str. 96)?! Tém niemniej na następnej stronicy przytacza autor istotnie na-

ukowe zdanie, że „*gwałt jest zawsze złym i zgubnym środkiem*,” i stosując się do wzmiankowanego zamachu dodaje, iż przez to „*pekła czarna chmura wisząca nad kmieciem*...” (str. 97). Cóż to jest? apologija i przyznanie winy zarazem!... Coby wyrzekli Buckle, Drapery na takie dowolne sądy dziejopisa!...

Później autor, rozwijając znaczenie zamachu szlachty, opowiada, jak ona wydziedziczywszy kmiecia, postarała się wyłącznie na rzecz swoją wyzyskać prawo podatkowe z przywłaszczonej ziemi i napróżno skarb Rzeczypospolitej szukał sposobów ratowania swych przywilejów w tym względzie (str. 98). W cóż się więc obracają owe twierdzenia autora o „wysoko rozwiniętej wśród rzeszy szlacheckiej XV wieku *miłości dla kraju*? O wyższych dążnościach, szerokich zamiarach“? (str. 95) „o skrzętnej zabiegliwości i młodzieńczej energii“ ówczesnej szlachty, co umiała „*chwalebnie*“ zmusić lud do uciezki, a grunta kmiece wcielić do folwarków?.. (str. 96). Tych wszystkich zdań z bujnej wyobraźni wynikłych niepodobna brać na seryjo, gdyż dzieje ówczesne rozpatrywane bezstronnie, wykazują jeno małą garstkę ludzi (jak i dziś, niestety) żarliwie i rozumnie kraj miłujących... Szlachta zbiorowa od początku prawie była niesforną i samolubną, a wiek XV, zaszczipiając obyczajną, stał na krawędzi tej strasznej anarchii, która się miała rozwinąć w przyszłości i kędy według słów pana Przyborowskiego, „*miłości kraju dopatrzeć już wcale nie można było*“...

Śmiało twierdzimy, że zdanie autora o „*winie*“ ustawy 1496 roku zgola nie poucza prawdy i jest całkiem jednostronnem, bo autor bierze skutek za przyczynę.

Przed sądem historyi jasno świeci fakt, jak słońce, że szlachta, zgnębiwszy lud pierwszemi ustawami i *zwyczajami*, zmusiła go do emigracyi, a w dalszym rozwoju gwałtów ujarzmiła i wydziedziczyła lud *całkiem prawnie*. Nie przyznać tego niepodobna bez popełnienia grubego błędu, bez zatwardziałości uporu, jakowy nie da się niczem usprawiedliwić.

Jeśli ekscesa prywatne niedostateczną są wskazówką ducha obyczajów danego społeczeństwa, to niezawodnie prawodawstwo jest nicomylną cechą onego, gdyż wypływa z potrzeb

istotnych lub przemocy silniejszych żywiołów nad słabszymi. Podając zaś prawodawstwo nasze i nie wdając się w metodę porównawczą, która jest szkodliwą gdy przedsięwzięta z celem apologii *pro domo*, przychodzimy, niestety, do przekonania o ujemnym onego dla ludu usposobieniu.

Jakoż piszemy się całkiem na zdanie pana P., że za Piastów jeszcze „prawo polskie, gniołące ciężko kmiciecia, niemogło oczywiście stanowić ponęty...” (str. 26). Że sławny nawet statut Wiślicki, pomimo zacnych usposobień króla Kazimierza, „żywo zajmował się kmicieciem, przeważnie na jego niekorzyść, co dowodzi już przewagi, jaką miał w sprawach krajowych stan szlachecki...” (str. 40) że na mocy paktu Koszyckiego szlachta urosła w dumę, a jej przywilej stał się „jednym z najprzykrzejszych warunków życia kmiciego...” (str. 45), że tam gdzie była szlachta najwięcej rozmnożoną, naprzykład na Mazowszu i w Wielkopolsce, kmiciec uciśniony burzył się najniebezpieczniej, mścił ogniem, zabójstwem i uciekał światami od tych mniemanych opiekunów narzutów (str. 85). To też przytoczę zdanie uczonego Stawiskiego, który mówi, że smutna skłonność „do zbiegostwa i łotrowstwa rosła w miarę rosnących nadużyć szlachty...” (Ob. posz. do Hist. Rol. w Pols. str. 185). Oto są owe początki wszego złego, owe przyczyny, jakowe w zupełności usprawiedliwiają summaryczną ucieczkę ludu lecz nigdy nie usprawiedliwiają w obec zadań moralności świata postępów tyranii, chociażby takowe były logicznym wynikiem grzechu pierworodnego szlachty, tej szlachty co jeszcze świętokradzko umiała zawsze przechwalać się zacnością i wolnością!.. Jakich swobód zażywał kraj w jej jarzmo wprzagnięty, takie i rozwiązanie dramatu dziejowego! i rydwan społeczny i siła go poruszająca zagrzęzły w przepaścistym bagnie!... pomimo to jednak mamy ciągle nagabanie upiększać przeszłość naszą, szukać białego w czarnym, wzorów w brzydkich kształtach, nie zaś w szczegółach, w których istotnie i jedynie posiadamy przykłady wzniosłe i niemal święte!.. Zapewne, gdzieindziej było wiele złego, atoli szlachcie polski szlachetniej urodzony, bo w kolebce słowiańskiej, znalazłszy się w fatalnym otoczeniu, powinien był być enotliwszym, przezorniejszym niż

ludzie tój kasty innych krajów, a że nim nie był, więc zginął sam i kraj zgubił.

Pan P., pragnąc złagodzić przykre wrażenie, ciągle przeciwstawia brzydkie fakta, które się działy gdzieindziej. Powiedzmy więc otwarcie, że pobieżne przykłady z obczyzny ani są gruntowne, ani też wyczerpują przedmiot, zaś większa bezczelność i okrucieństwo Bojarów ruskich lub Baronów niemieckich (jeśli istotnie były większe) mająż nam dopomagać do oczyszczenia się wobec historyi?.. Sądzę, że nigdy, bo porównywanie poczwarnych typów swoich z cudzymi nas wcale nie broni od poszlaki: lecz przeciwnie tylko rozzuchwała butną naturę i oddala przez to akt restytucyi, która być musi tak szczerą, pełną ofiary i cnoty, jak przyczyny zguby były nie raz bez czei i wiary w jakie bądź zasady moralne...

Oskarżajmy siebie raczej pokornie bijąc się w piersi, a nie uniewinniajmy tego co się bez szkody moralnej potomków w żaden sposób uniewinnić nieda. Co to mi za skrucha z apologiją na ustach brzydkiej przeszłości! Bałamuci ona tylko umysły i serca ostatnich mohikanów naszych... jakoż widzimy owoc czynów dzisiejszjej generacyi, która wiele rozprawiając, nie wyciąga szczerobliwej ręki sparaliżowanej macierzy!.. przestańmy się ludzi mrzonką, jakoby powszechna cnota naddziadów przelała się na potomków — my krwawo na tę opinią zapracować powinniśmy! Nie przytaczając klasycznych przykładów ze świata starożytnego w rzeczy pogardzania skrupułami gdy chodzi o prawdę, przypomnę fakt, jak godny mąż w narodzie, Adam Czartoryski, przed trybunałem prawa bez wahania się osądził rodzzonego ojca na więź za niesprawiedliwość i nikt enotliwy mu czei nie ujął za to. Czyúmżyż to samo zbiorowo w stosunku do dziejów, nie unosząc się fałszywym wstydem i skrupułami pychy, bo przecie skoro fałsz nas zgubił, więc oczywiście jedna tylko prawda jest wstanie przywrócić godność narodową. Prawda jest cudowną siłą — uwieźmyż w nią głęboko!

Pan Przyborowski, broniąc szlachtę kilka razy powiedział z naciskiem szczególnym, że „chęć panowania nad innymi i korzy-

stania z owoców cudzej pracy *właściwa wszystkim ludziom*“... (!!)

Jakże można zgodzić się na to zdanie chociaż tak stanowczo wypowiedziane?!.. My odpowiemy z równą stanowczością, lecz i z bezwzględną prawdą zarazem, że ta *chuć* niepocziwa jest właściwą *tylko ludziom i społeczeństwu niemoralnym i niegodziwym*; im gdzie głębiej ta zasada się zaszczepi, tém człowiek spada niżej na stopnie zwierzęcości, a niestety nasza społeczność wiele tak usposobionych w sobie mieściła, więc pocóż prawo rości do wyjątkowo zacnych, chrześcijańskich instynktów?... Zadaniem pozytywnej etyki jest: pracować nad wyrobieniem z materiału ludzkiego *in crudo* coraz więcej szanownych popędów duchowych, do czego dzielnie się przyczynia bezwzględna prawda historyczna, ta, która wzgardza wszystkiem co wzgardy jest warte, a oddaje cześć głośną zapoznanej zasłudze! Że nasza szlachta była „*zdziwiałą*“ o tém mówią nam dzieje przez usta najznakomitszych pisarzy swojskich, a co wiele razy powtórzył i p. P. dla czegoż wywód tak sprzecywny z niezbitymi faktami?!..

Gdyby w nas, pomimo czarnej przeszłości, było mniej przeświadczenia się fałszywego o godności własnej, to takie zdania nie tyle by szkodziły: lecz w obec usposobień dziwnego samochwalstwa potomków tych mężów co kraj przewrócili w ruinę, powtarzając, jeno, prawda gorzka zawsze najlepszy skutek wyrzeć może — nigdy zaś pochlebstwo, albo skrywanie rzeczywistości niby przez politykę... Prawda polityki nie zna!

W rozdziale X-ym pan Przyborowski opowiada dzieje ujarznienia chłopca w XVI wieku i wskutek tego rozwija poglądy o upadku miast. Chociaż fakta są zestawiane dobrze i historycznie tém niemniej na wnioski autora i tu zgodzić się niepodobna.

Na wstępie mówi autor, że szlachta „zapatrzona na Niemcy“ (któż kazał patrzeć enotliwym?), fundując się na ustawach 1493 — 96 lat „z gorączkową czynnością zajmuje się ograniczeniem swobody kmiecia, obostrza i rozszerza konstytucyje poprzednich sejmów, coraz bardziej obezwaładnia kmiecia,“ (str. 100) „daje uczuć mu ciężką dłoń przewagi szlacheckiej;“ (str. 101) że „przy objawiającym się teraz upadku patryjotyzmu w szlachcie obudziła się

powszechna uparta jej dążność usunięcia się z pod podalku;“ (str. 105), że w tym czasie wprowadzono pańszczyznę (str. 106). Z tém wszystkiém autor zdumiewa czytelnika wtrąceniem refleksyi, że jeszcze w tój dobie kmieć nie był przeciążony „*bo szlachetny (!) humanitarny (!) duch rycerstwa polskiego jeszcze się nie zaraził naleciałościami wschodniemi*“... (str. 107). Co to jest? mogłaż się szlachetność rycerska wyrażać takim „*systematyczném*“ samolubném dążeniem do zdobycia najnieodgodniejszych przywilejów przemocy nad słabszymi?!

Pan P. przytacza filantropijne zabiegi biskupa Karnkowskiego i Tarnowskiego i z tych zupełnie pojedynczych przykładów wnioskuje o ludzkości jakoby ogółu dziedziców tamtego czasu. Nie, to były fakta całkiem wyjątkowe i jesteśmy przekonani, że przy najstaranniejszém przewertowaniu źródeł nie wieleby się znalazło podobnych, mozolnie szukając, nigdzieśmy ich nie wygrzebali. Ze zaś okrzyk już wydawali cnotliwi, to ogółu szlachty wcale nie broni, lecz przeciwnie, rzuca na ten ogół jaskrawe światło prawdy i sromu. To znaczy iż poczciwi, załamując ręce na widok powszechnego zgorszenia, głosem wieszczym przepowiadali zagubę. Któżby na pojedyncze objawy tak wyrzekał i pomstę nieba wywoływał. Głuche sumienie ogółu potrzeba było poruszyć do gruntu, więc zacne rozumne jednostki w narodzie rozpaczliwie nawoływały rozbujałą „*rzeszę*“ szlachty do upamiętania — wszakże napróżno.

Nie możemy tu wdawać się w szczegóły, gdyżby to zadaleko nas odprowadziło od przedmiotu właściwej recenzji, powiemy więc tylko, że nie odczuwać, nie widzieć tój prawdy w świadectwach myślicieli naszych i mistrzów narodowej cnoty różnych czasów — nie godzi się! Cała nasza literatura pełną jest dowodów, że działy się u nas okropności, nie wyjątkowo, ale *powszechnie* i dla tego w inném miejscu podjęliśmy się pracy udowodnić tę prawdę szerokimi cytatami. Zbrodnia szlachecka na przestrzeni siedmiu wieków gospodarująca w kraju niepowinna i nie może mieć apologistów, bo najściślejsza sumiennosc i naukowość swojska tu i owdzie wypowiedziały o tém swe ostatnie słowo bez apelacyi, i braknie chyba wielotomowej historii

demoralizacyi naszej, specjalnie opracowanej. Dziś panegiryki, nawet względne, z domieszką chociażby wyznań winy są anachronizmem i nie dadzą się usprawiedliwić pogańską dewizą, iż „*homo homini lupus*“ (str. 102). W tymże rozdziale autor pisząc o upadku miast wyraża najdziwniejsze sprzeczności i trudne do pojęcia wnioski, naprzykład: że chociaż miasta wyludniały się przez winę szlachty wskutek przykucia chłopu do ziemi, (który był pierwój „*jędrnym energicznym żywiołem*“ zasilającym grody nasze) wszakże szlachta później, pomimo swego niepatriotyizmu (str. 105) zdobywa się na czyn „*jeden z najpatriotyczniejszych (!) z najrozumniejszych*“ mianowicie: robiąc tamy rozrostowi żydowsko-niemieckiego mieszczaństwa, które „*niezaradny żywioł polski*“ (?) usuwała (str. 103). Zapytuję więc znowu: co to wszystko ma znaczyć?

Ażali niepocziwi i cheiwi względem swych młodszych braci jednocześnie mogli być rozumni i kraj miłować jak patrioci?... Czy chłop nasz „*jędrny i energiczny*“ w dobie napływu do miast i jako mieszczanin, odrazu stał się niezaradnym mieszczaninem bez dopływu ze wsi chłopów współbraci?.. Wszystkie rozumowania autora są tak mętne i nieprawdopodobne, że chyba niczego więcej nie uczą jeno cierpliwości czytelnika...

Szanowny autor pierwój niż o kwestyją miast potracił powołuje się głucho na powagę, jak sądzę, Wawrzyńca Surowieckiego, który ten przedmiot opracował „*dawniej i lepiej*,” (str. 103) prawda.

Na zasadzie wyznania autora przytoczę zdania Surowieckiego, dla tego aby udowodnić, że udział żydów, (bo o nich tu głównie chodzi autorowi) w miastach nie tylko nie był zgubnym, lecz pożytecznym krajowi; że miasta przed przykuciem chłopu do pana doznały już czasów śmiertelnych od szlachty, że przeto szlachta według słów autora i istotnie „*niepatriotyczna*“ nie potrzebowała zdobywać się na czyny jakoby patriotyczne w sprawie zgnębienia i zniszczenia miast w ojczyźnie... Wprawdzie Stawiski mówi wiele przeciwko żydom; (ob. Posz. do Hist. Rol. Kra. str. 356 — 361) również i nieśmiertelny Staszic w prze-

strogach gromi ich, *uważając jednak za współników szlachty w grabieży kraju*, (str. 242 — 252) lecz ponieważ Surowiecki specjalnie przedmiot upadku miast opracował, więc stosunek żydów do tego faktu warto twierdzeniami jego wyjaśnić, tem bardziej, iż powaga Surowieckiego jest ugruntowaną. Posłuchajmyż co mówi. „Do przyczyn upadku miast w Polsce—są słowa jego—liczono zawsze mnóstwo żydów, które się w nich zagnieździło. *Wedle mniemania popospolitego*, naród ten z jednej strony miał wydrzcić osiadłym tam chrześcijanom wszelki sposób do życia, a z drugiej wyssać ich z reszty majątku. Z powyższych uwag jużesmy się przekonać mogli, że w takim położeniu, w jakim się *przez półtora przeszło wieku znajdowały miasta i ich przemysły, bez przyłożenia się wszelkiej innej przyczyny, musiały koniecznie niekczemnieć i upadać; bez żydów zatem ten sam los nie byłby ich minął*. Kto należycie zważy ścisły związek, jaki panuje między tym narodem, jego pracowitość, oszczędność i biegłość w swém powołaniu, przekona się łatwo, że po upadku wszelkich innych mieszkańców miast, on się najdłużej powinien był utrzymać w Polsce.“ Dalej mówi Surowiecki o solidarności żydów, która ich ratowała w obec najsmutniejszych warunków, jakowych mieszczanie wyznania chrześcijańskiego, zostający bez kapitału i opieki przenieść nie mogli i upadali; wreszcie konkluduje, iż „wyjawszy kilka miast znaczniejszych, kędy panowie rozrzucali swoje dochody, wszędzie prawie samym żydom winna Polska ocalenie handlu i rękodziel“ (ob. o upadku przemysłu i miast w Polsce str. 139 — 140 wyd. Tur.).

Nie podobna przytaczać szczegółów téj ciekawej pracy Surowieckiego, odsyłam więc do niej czytelnika, zapewniając, że tam znajdzie dowody jasne, jak szlachta, złupiwszy lud, była bezpośrednią przyczyną upadku miast, (str. 146 — 137) *a nawet zdemoralizowania żydów* na niekorzyść kraju, (str. 143—145). Słowem, pierwszym i ostatnim motorem wszelkiego złego w ojczyźnie.

Ciekawe, bezimienne dziełko z roku 1739 p. t. „*Myśli polityczne dla polski*“, rozbierając różne palące kwestyje i szukając

środków zaradczych, z kolei wiele mówi z bezstronnością i rozsądkiem politycznym o żydach polskich. Uwagi anonimowego, naczelnego świadka sytuacji ówczesnej, są wręcz przeciwne tym, jakie czyni autor dziełka o włościjanach, wywołującego niniejszą recenzją. W powyższej pracy czytamy, iż żydzi pomimo przemysłowości i zabiegliwości są po większej części w nędzy, gdyż ich obdziera różnymi sposobami chciwość panów (str. 101—102, 105), że bywają krzywdzeni nawet sromotnym biciem, za to tylko, iż są żydami, nieznajdując nigdzie sprawiedliwości, (str. 106). Że prywatnym ludziom muszą się opłacać za swobodne odbywanie praktyk religijnych, a rolnikami niechcieli nigdy zostać w Polsce, pomimo nawoływania i napędzania do tego stanu, ponieważ smutne doświadczenie uczyło, jak ciężką była dola ludu rolniczego pod przemocą panów. Kupili się więc po miastach przeważnie, bo łatwiej im było w danym razie towar uprzętać przed okiem chciwym, niż majątek zagospodarowany, jakowyż zawsze był narażony na samowolę siły brutalnej dziedziców (str. 107). Takie i tym podobne świadectwa społecznych, rzucając prawdziwsze światło na kwestyję żydowską u nas w przeszłości, wraz z wielu tu cytowanymi dowodami obalają całkiem jednostronne twierdzenia, iż jakoby bezecność żydowska winą wszystkiego, przeciwnie, okazuje się, iż owa bezecność najdzielniej fachowo się kształciła w szkole pogardy i szlacheckiego bezprawia...

To co pan P. mówi o patryotycznym jakoby postępku szlachty w rzeczy pogwałcenia żydowskiego i niemieckiego mieszczaństwa, zadziwić tylko może myślącego czytelnika. Najprostszy rozsądek dyktuje, iż w tém nie może być żadnej podstawy słusznej. Tomasz Potocki w szacownym dziele, i za takie przyznaniem przez samego autora (str. 5) p. t. „O urządzeniu stosunków rolnych w Polsce,“ na str. 322—323 z boleścią opowiada o upadku miast, że nienawiść szlachty ku mieszczaanom cudzoziemcom, zaszczepiana pierwej, „objawiła się już pod Jagiellonami reakcyjnym „prześladowaniem“ a szlachta systematycznie, niepocziwie deptała rywalów w pewnym względzie. Stąd więc upadek grodów naszych, lecz zarazem i wskutek

zgnębienia ludu przez szlachtę, bo gdy spożywców głównych ogarnęła nędza, gdy bogactwa ludu pochłonięła szlachta i je strwoniła przelewając za granicę przez zbytek, miasta ostać nie mogły. Nie chciwość żydów, lecz chciwość panów zgubiła miasta polskie i przemysł narodowy! przyznają to wszyscy badacze nasi jak Czacki, Bantkie, Mędrzecki, Staszic, Surowiecki, Jaroszewicz i inni, a pan p. P. bezecność nazywa czynem patryotycznym! Czy można tak pisać historiją?!

Uczony Tadeusz Czacki w znakomitej rozprawie o żydach to samo co i Surowiecki wykazuje mianowicie: jak rozumne, obywatelskie były ustawy względem żydów Kazimierza Wielkiego w Polsce i Witolda w Litwie (str. 74, 76) a na co się później targnęła chciwa prywata (str. 82, 83) że żydzi byli potrzebni krajowi dla handlu i przemysłu (str. 84, 218) lecz pożyteczne ich przymioty złamała nietolerancyja, a prawodawstwo nastrecało zajęcia demoralizujące jak: lichwę, szynkarstwo i tym podobne, (str. 89, 90, 91, 98, 99) zdzierstwa zaś i obłudna gorliwość (str. 100—101) dopełniały dzieła wywłaszczenia z praw obywatelstwa tego przybłego do nas *zdolnego* plemienia, które przy mądrych urządzeniach krajowych mogłoby się stać silnem ramieniem narodu. My w żydach przywykliśmy widzieć najczęściej oszustów i wyzyskiwaczy, bośmy ich kształcili na tém polu, mogąc mieć takich jak Disraeli, Crémieux, Fould, Lasker i inni. Bądźcobądź, za ledwo żydzi nasi poczuli pomyślniejsze ustawy, o których mówi Czacki, dali dowody obywatelskiego poświęcenia się dla kraju (str. 105). Nie łupić, grabić i niszczyć lecz podnosić duchowo, umysłowo i materyjalnie żydów należało! Ale kto mógł wtedy natchnąć prawodawstwo do takich ustaw, kiedy ci co je stanowili, lubując się w „saturnaliach“ stracili całkiem instykta obywatelskości! „Konstytucyja 1776—woła Jaroszewicz—jednym pociągiem pióra 150 miasteczek, oprócz stołecznych i grodowych oddała ostatecznie pod rządy i sądy starostów, *aby do reszty były zniszczone*“ (ob. Obr. Lit. T. II str. 151). Twierdzimy więc stanowczo, że i w kwestyi upadku miast polskich pan P. wziął skutek za przyczynę i przyznał patryotyczny czyn szlachcie jakowy będzie

jój wiecznym zarzutem i piętnem na kartach bezstronnój historyi.

Następny Rozdział XI jest również zestawieniem faktów pouczających i zarazem zbiorem wniosków najnieprawdopodobniejszych, zmierzających ciągle do uniewinnienia tego ogółu, któremu się zrobiły najcięższe zarzuty.

Autor przytacza gromy „*mędrszego nad wiek*“ Modrzewskiego, głosy apostołskie Skargi, Birkowskiego i Starowolskiego; naukowe przestrogi Petrycego i innych, nawet najgorszych jako ludzi, (mowa o Opalińskim) „*przerażonych stanem kmiccia*“, a wyznając sarkastycznie, że „*umysły rojnej rzeszy szlacheckiej niedorosły do wysokości*“ tych prawd, (str. 113—115) wnet się zwraca do zasadniczej ulubionej myśli, i twierdzi parodoksalnie, że chociaż „*pseudo historycy dzisiejsi (?) usiłują ogół szlachty wystawić jako tłumną rzeszę drobnych tyranów*“, tyrani ci wszakże słuchali (jakoby) pokornie kazań sejmowych Pawęskiego „*mówiąc w duchu (?) winniśmy, poprawmy się!*“... „*bo jeszcze sumienie narodowe nie było zamaćone wspomnieniami krwi rozlanej pod Żółtymi wodami, Korsuniem, Beresteczkiem...*“ i t. d. (str. 116). Ileż tu prawdy, sprzeczności i luźnego sądu zarazem! Szlachta jest u autora rzeszą okrutną, głuchą na głos prawdy i jednocześnie posiada sumienie narodowe względem braci kmiotków, chociaż ci oddawna znienawidzili, ^{ich} podpalali, wyrzynali i odbiegali, począwszy od czasów bolesławowskich aż do buntów Muchy, Lejezysa, Chmielnickiego, Gontów, Żeleźniaków i innych!... Autor nawet przeczuł, co myślała w duchu szlachta, słuchając kazań apostołskich, które ojczyźnie przepowiadały zgubę: *lecz kiedyż, pytam, były czyny zbiorowe, mogące jedynie usprawiedliwić wszystkie powyższe twierdzenia i domysły autora?!...*

Jeśli historyja ma być nauką nauk społecznych, sternicą ich myśli, to przedewszystkiem musi wnioskować bez uprzedzenia, bez fałszywej ambicyi, bez względu na przesady chwili i t. p. Rozumiem, że trudno podnieść się piszącym do potęgi Bucklów, Renanów, Draperów, Rankich, Stasziców i t. p. Lecz jeśli nie genialność sądu o rzeczach, nie zdumiewająca nauka,

to niech przynajmniej rozsądek zdrowy, szczerze uczucie przemaga w dziele popularnym, a te cechy ducha w historyku li tylko warunkują się wyznawaniem zasady prawdy bezwzględnej. Powtarzamy po raz nie wiem który: wielka szkoda, że materyjał, który nam dał w swém dziełku pan P. nie może się stać prawdziwie pożytecznym, gdyż do prawdy historycznej autor domieszawszy olbrzymią dozę swych tendencyjnych poglądów i to w sposób najnieszcześliwszy, uderzający nawet najsłabszą uwagę krytyczną, wartość onego obniżył i chyba czytający pomiędzy wierszami znajdzie tu wiele wskazówek trafnych które do wręcz przeciwnych wniosków doprowadzić muszą. Ależ przecie znajdujemy w tym rozdziale zdanie, że szlachta w wieku XVII była już ryczałtem „*zdziaczała*“ (str. 116). Ten wyrok mogłyby tylko potwierdzić wnioski następnych rozdziałów, wszakże czytelnik się przekona, że i one, pomimo kapitalnych, strasznych oskarżeń, przynoszą obronę żarliwą...

W rozdziale XII autor chcąc koniecznie odwrócić uwagę czytelnika od tyranii ojczystej, opowiada pokrótce o poczwarnych stosunkach bojar ruskich, tudzież „*düków*“ i markizów francuskich do ludu, w celu wykazania, „*że nie było u nas tak źle, jak to niektórzy utrzymują*“ (str. 127).

Istotnie, któż z badaczy zaprzeczy oplakanemu położeniu chłopa w państwie Moskiewskiem, kiedy sami rossyjscy pisarze malują byt ludu ruskiego w najczarniejszych kolorach, a prawodawstwo jawnie świadczy, że tyraństwo tam było zasadą rządzenia poddanym gminem rolniczym. Z tém wszystkiem „*kabała*“ szubienica i tym podobne rzeczy ażali istotnie były czémś sroższém od naszej „*główszczyzny*“, absolutnie bezcennego wymysłu szlachty, który w roku 1581 (ob. Vol. Leg. t. II str. 1012) doszedł do maximum bezczelności i do minimum ceny za głowę chłopa; bowiem szlachcie płacąc 30 grzywien, czyli na nasz rachunek około 216 rubli, (porównaj u Czackiego t. I str. 132, 133, 156) był swobodnym od poszlaki zabójstwa i mógł dowolnie powtarzać zbrodnie; chłopa zaś karano gardłem, gdy się targnął na swego ciemiężcę.

Jeśli zestawili okrucieństwo prawa rossyjskiego z polskiem

i tę okoliczność, że tam je stanowił jeden człowiek, łatwiej omylny, a tu cała „rojna kasta,“ jakoby w duchu pokorna i patryotyczna,... więc łatwo zrozumieć może każdy rozsądny, dla czego owa okropna wola zbiorowa tém straszniejszą zaciągnęła winę przed nieubłaganą żadnym skrupułem ideą moralną!.. Przywiedzione przez autora świadectwo obcych pisarzy o smutnym stanie ludu we Francyi, (str. 122 — 126) zgola nieoczywczają sumienia szlachty polskiej, co w rozbiore następnych rozdziałów wykażemy ustępami pana P. a zarazem całą bezzasadność obrony naszych dziedziców dusz niewolniczych przez metodę porównawczą, bowiem nędza naszego kmiecia tudzież okrócieństwo szlachty nad nim stwierdzone są faktami i nie tylko nie były mniejsze niż gdzieindziej: lecz bodaj poważniejsze, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę te nieustanne przechwałki któremi karmiono i karmią do dziś dnia próżność naszą...

Co się tycze „kabały“ wielkorossyjskiej, na którą autor silny nacisk kładzie i że jakoby po roku 1436 na Rusi polskiej takowa już nie istniała, zauważę, iż to twierdzenie potrzebuje sprostowania.

Zwyczaj „Kabały,“ czyli dobrowolnego zaprzędawania się, oddawna był praktykowany tak dobrze na Litwie jak i Rusi północnej. Statut pierwszy w Rozdziale X-m w Artykule X-m pазwala wykupić się „przedającym siebie“ (ob. u Czackiego o Lit. i Pol. praw T. II str. 217) a statut trzeci w Rozdziale XII w Art. 11 i 19 każe „wyrabiać się,“ wysługiwać się zaprzędanemu i nawet na dzieci zmarłego do siedmiu lat ten obowiązek wkłada. To samo już prawo, acz modyfikujące rzecz poświadczają o zwyczaju zaprzędawania się czyli „Kabale,“ która w praktyce pomimo orzeczeń statutu miała rozległe zastosowanie podając ubogich władzy dominialnej.

Chociaż więc, jak sądzę, od roku 1530 (nie zaś 1435) nastąpiły ograniczenia w prawie Litwy i Rusi w rzeczy dokumentów samosprzedazy, tem niemniej to zaprzędawanie się, czyli „kabała“ istniało długo w pełnej sile. Jakoż i uczony Jaroszewicz pisząc o tém samém twierdzi, że „przy wpływie i przemocy jaką miała szlachta nie zawsze wola prawa mogła mieć swój skutek,“ i że

bogatsi panowie nietylko lud niewolny, lecz bojarów, a „nawet podupadłą szlachtę w rozmaity sposób zrównali z włościjanami i do niewolnictwa zmusili.“ (ob. Obr. Lit. T. II str. 151—152), że biedny przez niemożność złożenia okupu i wrócenia zapomogi w ścisłe przechodzić musiał poddaństwo (Ibid. str. 158), że „od wieków przywykły wieśniak litewski do uległości panom, najczęściej nawet bez szemrania znosił przykre nadużycia, któremi *niesprawiedliwi i niehumanitarni* *go dziedzice*“ (Ibid. str. 165) Archiwalne pomniki dostarczają nam dowodów pewnych, iż zaprzeczenie się *wieczyste* było jeszcze w praktyce na Litwie do końca wieku XVI. Późniejszych dokumentów nieprzypominam: lecz z tego czasu widziałem nie mało i mogę nawet wskazać bardzo ciekawe w druku, zamieszczone mianowicie w I-ym Tomie Arch. Sbor. Wil. str. 145 i 149. Tu czytamy, iż zaprzeczają siebie *na wieki* jacyś Piotrowicz i Pietkiewicz, a forma wzmiankowanych dokumentów wskazuje rutynę utartą praktyki „kabały.“

Zaprawdę, czyż *de facto* nie mieliśmy „kabały“ i w Polsce? Przecie za długi, jak powiada Maciejowski, i przez żenienie się z poddankami sołtysi i inni stawali się niewolnymi. O zapobieżeniu temu uprawnionemu bezprawiu myślał Zamoyski i sejm czteroletni, ale wiadome są skutki tych usiłowań... (ob Hist. Włość str. 220). Sądzę, iż nie potrzebowała szlachta nasza brać lekcji tyranii u obcych, ponieważ od doby pierwotnej zaprawiała się do niej swobodnie w domu i bodaj z systematycznością, mając rozwiązane ręce i będąc samowładną, prześcigła ościennych. Rossyjscy pisarze na pytanie: kto kogo zgorszył? zapatrują się wręcz przeciwnie, mianowicie: bezstronny uczony Bielajew dowodzi nie bez pewnego znaczenia, że zbliżenie się Bojar rossyjskich do panów polskich w Epoce samozwańców zdemoralizowało pierwszych, ze względu na patryarchalny stosunek z ludem i odtąd datuje się przełom w pojęciach właścicieli ruskich ku gorszemu (ob. „Крестьяне на Руси“ wydanie 2, str. 102). Nie bierzemy na siebie roli rozjemcy pomiędzy panami Bielajewym i Przyborowskim, zauważymy jednak fakta pewne, na źródłach oparte, że lud w państwie Moskiewskim do wieku XVI

włącznie, używał *na mocy prawa* swobód obywatelskich i własności ziemskiej (ob. u Bielajewa str. 4, 7, 13, 29, 30, 49, 79, 80, 93, 112, 113), a chociaż od wieku XVII stan rzeczy się pogorszył (ibidem str. 181) i jurysdykcya Bojar zaczęła bardziej ciążyć, z tém wszystkiém lud zostawał jeszcze pod prawem sądu *agolnie państwowego*, (str. 205) miał pewne przywileje osobiste (str. 209) i posiadał prawo na ziemię (str. 210) Niezawodnie, iż poza obrębem istniejących kodeksów działy się wielkie nadużycia ludowi od Bojar, tem niemniej osobiście swobodni włościanie, w ustawach krajowych mogli znaleźć niejaką obronę, a te prawa świadczą o stanowisku mniej więcej obywatelskiém włościjan rosyjskich wśród klas innych, gdy w tym samym czasie w Polsce chłop, będąc już własnością bezwzględną pana, postradał wszelkie prawa nie tylko obywatela ale nawet i człowieka... Ważne i to, że jeszcze za Piotra Wielkiego pomimo praktykujących się ucisków, lud *prawnie* nie stracił wszystkich przywilejów (Bielajew str. 249) a groźny monarcha ukazem z roku 1719 postanowił brać majątki okrutnych panów w kuratele. (ibidem str. 252). Jednocześnie w Polsce panowały „*saturnaliję szlacheckie*“ i nie było żadnej władzy, któraby choć trochę skiełznała ciemiężców. Niewłaściwie więc historycy nasi, patrząc na stosunki ekonomiczno-społeczne w Rosyi, przedstawiają bez komentarzy li tylko ujemne ich strony (Lubomirski Rol. lud. w Pols. str. 42 — 42) albowiem jeśli było tam wiele złego, jednak to złe w zestawieniu ze stanem rzeczy u nas rzeczywiście maleje, ponieważ władza prawodawcza w Rosyi, spoczywając w silnej dłoni jej monarchów, dłużej nierównie broniła chłopca od gwałtów pańskich, a krytyczna chwila dla ludu wybiła tam później i krócej trwała niż w Polsce.

Przytwierdzenie chłopca rosyjskiego do ziemi w XVI stuleciu nie czyniło go jeszcze „*rabem*“ całkowitym jak chcą inni, (Bielajew str. 112 — 113) a „*kabała*“ i „*zakupy*“ też nie ujarzmiły go zupełnie (ibid. str. 14, 15, 247, 260) i chociaż za panowania Anny, Elżbiety, Piotra III, i później prawo całkiem oddawało lud w ręce siepaczy dziedziców i obarczało go straszny podatkami (Bielajew str. 262, 283, 286, 290, 300) wszakże

rok 1787 był punktem zwrotnym owych okropności, bo cesarz Paweł wydał manifest pierwszy, ograniczający samowolę panów i odtąd historycy rossyjscy zaznaczają coraz baczniejszy wzgląd prawodawstwa na dolę ujarzmionego gminu, (Biel. str. 302) co się wreszcie zakończyło, już za naszych czasów, uwolnieniem onego od kajdan wstrętnego poddaństwa, i wtedy to, ze wstydem przyznać trzeba, kmicieć Polski, Litwy i Rusi też odzyskał dawno utracone prawo własności i osobiste obywatelstwo. Opowiadane przez senatora Sołowiewa szpetne fakta opozycyi wielkorossyjskiego dworzanstwa w trakcie agitującej się sprawy emancypacji włościan za ostatniego panowania, na czele której znalazło się mnóstwo dygnitarzy, a między innymi taki potentat, jak sławny Michał Murawiew (ob. „Русская Страница“ za 1881 r. str. 721, 722, 729, 730, 734) wcale nie powinny podniecać naszej pychy, ponieważ ówczesne liberalniejsze poglądy panów litewskich nie uchylają treści dziejów przeszłych, a przytém pierwotne oświadczenia ziemian naszych były jeno za swobodą osobistą kmiecia bez nadziałów, według wzorów prowincyi nadbałtyckich i tylko w późniejszym rozwoju sprawy, na mocy wskazówek Najwyższego manifestu z dnia 20 listopada 1857 roku zgodzono się *względnie* na zasadę uwłaszczenia. Geniusz całkowitej bezstronności widocznie nie tryskał z inicjatywy naszej zbiorowej, chociaż nie przeczymy pełnych ofiarności wyjątkom, bo tych mieliśmy zawsze sporo, więc i tą razą.

Rozdział XIII zaczyna autor od wyjaśnienia położenia niegdys chłopca na Litwie i chociaż w rozdziale VIII też mówił, że z powodu ucisków szlachty „chmura ludowa zawisła nad całą Polską“ że powstanie Lejczysa na Litwie za Kazimierza Jagiellończyka było groźniejszym od powstania Muchy w Sanockiem, bo „*czysto chłopskie* bez domieszki politycznych, wołoskich zacheianek“ (str. 89) z tém wszystkiém teraz po dość smutnym wstępie autor twierdzi, iż na Litwie „stan rolnika *wieśniaczego* (tak!) nie był wcale zły,“ że jakkolwiek w dobrach prywatnych robocizna nie była opisana, „*wszelako ucisku i nadużyć nie było*“ (str. 129). Trudno pojąć na fundamencie jakich danych pan P. zbudował ten wniosek stanowczy? Wprawdzie swoją kolejaj

zaraz zaznacza „pewne ograniczenia swobody osobistój,“ a nawet prawo dziedziców *karania poddanych gardłem* i przytacza urywek z kroniki Gwagnina poświadczający o strasznej nędzy zgniebionego litewskiego ludu, wszakże obraz ten wydaje się autorowi „za jaskrawy“ (?) „zresztą pisany przez człowieka podejrzanej wartości moralnej“ (?) (str. 130). Zastanówmy się nad t \acute{e} m wszystki \acute{e} m.

I tak, twierdzenie pana P., iż ucisku na Litwie nie było, jest conajmniej ogólnikiem w ustach historyka, dziwnym i nieprawdopodobnym, zwłaszcza po t \acute{e} m wszystki \acute{e} m co autor w sw \acute{e} m dziele o Litwie powiedział, a t \acute{e} m bardziej jeśli się ono porówna z prawodawstwem i świadectwami uczonych powag naszych. Michał \acute{e} n poważny autor, świadomy dobrze rzeczy, świadczy o ciężkiej doli poddanych na Litwie w wieku XVI.

Jaroszewicz, wielki znawca rzeczy Litewskich, mówi, iż sama Mytologija litewska, posiadająca opiekuńcze bóstwo Puschatitis, do którego lud się modlił, błagając o wstawienie się do *bożka panów* Markopole o złagodzenie ich losu (Obraz Litwy T. I, str. 117) dowodzi odwiecznego tam ucisku. Dalej na str. 148 Jaroszewicz twierdzi, iż w Litwie od dawna gmin popolity cierpiał. W Tomie II, na str. 53, Jaroszewicz wykazuje proces systematycznego ujarzmiania chłopów i tamże na str. 55 opisuje jak nawet „drobna szlachta, (czyli tak zwani ziemianie), do samej unii doznawała ucisków od możniejszych i do swobód dopuszczoną nie była. Na str. 116 Tomu II t \acute{e} ż czytać można o cyniczn \acute{e} m postępowaniu szlachty przy rozszerzaniu folwarków. Znowu o najnędzniejszym wogóle stanie ludu poddańczego, niewolnego lub zależnego w jaki bądź sposób od panów znajdujemy pogląd z szerokich źródeł czerpany ibidem od str. 151 do 159 i wreszcie opis opressyi które doprowadziły aż do buntów, jakowe srogi *Rynwid* uśmierzał (str. 164 — 165).

Co zaś do cytaty Gwagnina i poszlaki rzuconej na tego uczonego kronikarza i zacnego męża w przybran \acute{e} j ojczyźnie zauważmy, iż przytoczony przez pana P. urywek nie daje całego obrazu jaki Gwagnin przedstawił, zaś sąd o Gwagninie jest lekkomyślnym, bo zasadza się tylko na nieudowodnionych zg \acute{o} ła

pretensyjach wielce ambitnego o sławę pisarską, a mało uczonego Strykowskiemu, który rzucił potwarz na zacnej pamięci męża bodaj przez zazdrość.

Wszakże wogóle nasi uczeni przyznali Gwagninowi: „zaćność, odwagę, naukę, miłość i poświęcenie się dla kraju;“ Sobieszczański dowodnie jego pamięć obronił od poszlaki rzuconej przez Strykowskiemu, a Czacki mówi, że Gwagnin „dla zasług był przyjęty w grono polaków“ (ob. o Lit. i Pols. praw. T. I, str. 116). Bądźcobądź, gdyby nawet Strykowski a nie Gwagnin pisał kronikę, to przecie tembardziej upada twierdzenie pana P. co do wątpliwości faktu ucisku, gdyż w takim razie obaj kronikarze zarówno przyznali fakt, a Gwagnin uchodzi za wielkiego znawcę stosunków ówczesnych.

Jeśliby on nie przyznawał tekstu Strykowskiemu, więc by go wyrzucił i za swój nie podał.

Ta prawda jest tak jasną, że prawie dowodów nie potrzebuje. Pan P. nie mogąc świadectwa Gwagnina pominąć, podał je lekkomyślnie w wątpliwość, nie sądził atoli, że przez to, jakeśmy dowiedli, fakt ucisku nabrał pewności tém większej. W tymże rozdziale, autor wyszukując rozmaite powody dla wykazania, że tak źle z chłopami w Polsce nie było, przytacza kilka nie nieznaczących przykładów zamożności wieśniaków, lecz zarazem przyznaje, że były to fakta „nieliczne i odosobnione, wreszcie dodaje paradoksalnie, iż one „dowodzą w każdym razie (?) zamożności kmiecia polskiego w XVI“ (str. 132??..). Jakże przykro jest spotkać się z takim wywodem na wskroś nieprawdopodobnym, brzemienym sprzecznością dziwną, zwłaszcza, że na następnej stronie autor znowu zaznacza stan ubóstwa w XVI wieku i zgubną stąd dążność do jałmużnictwa, bowiem wtedy „jak i zwykle nie szukano przyczyn smutnego stanu rzeczy, leżących głównie w odebraniu kmieciom swobody.“ (str. 133).

W tej dobie istotnie i według słów autora, szlachta zgnębiwszy chłopą „włącza grunta kmiecc do folwarcznych, kmieć przeto tłumnie ucieka na szerokie stepy“ (str. 134) ratując wolność osobistą, a szlachta dąży za nim na żyzne kresy robić fortunę, „nieprzebiera w środkach“ rozszerza i tam władzę zniszcze-

nia, dzieczeje, nikczemnieje, (str 135) dla tego aby, jak wykażemy niżej, mieć poklask od pana Przyborowskiego z powodu wzniosłej jakoby misyi „pługa polskiego“ i gospodarności... Nieustanne błędne koło twierdzeń i przeczeń!..

W Rozdziale XIV autor dochodzi do apogeum sprzeczności. Zbiegostwo kmieci na kresy wyjaśnione pierwój przyczyną ucisku ich w ojczyźnie, zaznacza teraz „*pod najpiękniejszą wróżbą wśród niesłuchanie skrzętniej, i zapobiegliwej pracy*“ (str. 137). Czytając nie wierzy się oczom własnym. I któż tam pracował? owe zbiegi ojczyzny, czy też szlachta, która wnet siadła na karci nieszczęsnych zbiegów „jak mszyce, — według słów Kraszewskiego, — na słabą przesadzoną roślinę“?!.. Cóż to była za skrzętność skoro się zakończyła „*morzem buntu chłopskiego*“.. Cóż to była za moralność owych misyjnarzy „pługa polskiego,“ którzy zamierzając niby święte dzieło na kresach, zwabiali tam w sposób najbezczelniejszy swych braci banitów, różnych złoczyńców, łotrów, cudzołożników i t. d. pod warunkiem zupełnej wolności i bezkarności?!.. (str. 139). Z drugiej zaś strony co mamy ~~my~~ myśleć o zdaniu autora, kiedy mówi zaraz, że ta ludność wędrująca była „*najdzielniejszą*“? że szlachtę nęciły harce z Tatarami, więc się „spełniała wielka narodowa misyja, a ukraina rosła w tej dobie skrzętną, zabiegliwą pracą“?.. (str. 140).

Jakimże sposobem, pytam, szlacheć wogóle zdziczały na kresach i dziedzic rzadko tu przesiadujący w dobrach (str. 135—139) mogli jednocześnie „*skrzętną zabiegliwą pracą na roli, z niezwykłym zamilowaniem do rolnictwa*“ spełniać misyję (!) to też i sam autor przyznaje jakby na przekorę sobie, że wszystko się skończyło na „*przemienieniu kozaków w chłopów*“ i na krwawej wojnie domowej (str. 141).

Czy podobna bardziej poplątać treść, zmylić pojęcia i drogi wniosków?!

Dalój znajdujemy najpotworniejszy, lecz prawdziwy obraz ucisku wogóle ludu i tych samych kolonistów na kresach, których panowie zwabiali tak zachęcająco i bez względu na wszelkie prawa moralne. Wielka własność pochłania tam wszystko; bezczelność, nikczemność, „*drakońskie ustawy szlachty*“ w opisie

wiernym pana P. przerażają czytelnika, wszakże i tu znowu szlachta jest „zamiłowaną w gospodarstwie“ (str. 141—143).

Autor przypisawszy jej wszystkie zbrodnie zapytuje wreszcie: czy szlachta była temu winna i odpowiada stanowczo: „Zaprawdę nie“! lecz czytelnik uderzony t^ęm niemiłosiern^ęm zdaniem logiki, czuje jak mu ciarki przebiegają po ciele i sam nie wie co myśleć o stanowczości autora, pomimo, że ten powagą cudzoziemca stwierdza swe przypuszczenie i dodaje, iż dalsza „obrona niepotrzebna“ (str. 144). Jakże można tak niemiłosiernie przegrywać na nerwach i umyśle czytelnika! Sprzeczności zdumienia godne są ciągłą cechą dzieła pana P. więc z kolei mówi o ucisku w belzkiem, chełmskiem, na podlasiu, o t^ęm: jak pospółstwo tam na mogiłach oczekiwało, niby wybawców koźactwa Chmielnickiego i band Rakoczego a uciekało w lasy i bagna na widok rycerstwa polskiego; jak zmałwiało się na zgubę dziedziców, (str: 135 i 144—145). Z t^ęm wszystki^ęm na str. 146 znajdujemy wręcz przeciwną opowieść, mianowicie iż „w okolicach Chełma, Bełżu, Zamościa i na Podlasiu szlachcic polski zachował *swój poczciwy łagodny charakter i nieuciskał systematycznie ludności wiejskiej, bo zaraza do niego dostać się ani z Niemiec ani Zadnieprza nie mogła*“... (??) że wogóle w tym czasie dają się spostrzegać „ustępy“ (?) — zapewne autor chciał powiedzieć zjawiska — „nie ziemskiej jasności,“ kędy „łagodny, uczciwy charakter narodu“ okazuje się w całej sw^ęj pełni, bo chłop polski zwany złośliwie przez obcych „uciśnionym niewolnikiem“ broni nieraz rodziny szlacheckie i opiekuje się niemi w nieszczęściu, co t^ęż ma rehabilitować przeszłość naszą i dowodzi, że „nie zawsze polskie pany byli okrótnikami“ (str. 146).

Zapytajmy jednak czego dowodzą przytoczone fakta wierności kmiec^ęj? Oto chyba tyle, że cierpliwy nasz chłop umiał oceniać zacność dziedzica jeśli ją kiedy spotkał i że w naszej Sodomie zawsze mogło się znaleźć kilku, kilkudziesięciu może Lotów. Piękne wprawdzie to przykłady, szanujemy je jak świętość, lecz one zgoła nie zmniejszają winy ogółu szlachty, który był wrogiem narodowi, myśląc tylko płytko i niepoczciwie o sobie, nie zaś o kraju, jak był powinien. Zresztą zauważ-

my, że i najgorsi dziedzice często doświadczali wierności ludu taki fakt wymowny upamiętnił znany z zacności pisarz Tomasz Massalski, Ihumeńczuk, w swęj tendencyjnej powieści administracyjnej, p. t. „*Pan Podstolic*“ (t. I str. 55 i 131).

Massalski opowiada, jak w 1812 roku włościanie wsi Dubowrucza w powiecie Ihumeńskim bronili mężnie dworu swego *uciążliwego* pana od napadu maruderów Westfalskich. Na fakta niezastużonej wierności patrzyliśmy sami niezliczone razy i powtarzamy, iż one raczej dowodzą dodatnich usposobień natury naszego ludu, a w wyjątkowych tylko razach zasługi osobistęj dziedziców. Co zaś do ucisków i zarazem najlepszych jakoby stosunków w bełzkiem, chełmskiem i w innych miejscach, o czém wyjaśniłem wyżej, doprawdy trudno głębiej zabrać w sprzeczności, jakowe niewypowiedzianie nużą czytelnika.

Rozdział XV jest dalszym ciągiem obwinień i obrony szlachty w sprawie ludu, lecz teraz gdy samowolę szlachecką autor przedstawia w cynicznym obrazie, apologija tęp dziwniejszą nam się wydaje w ustach jego i tęp przykrzejsze robi wrażenie. Autor dotarł do okropnych czasów Jana Kazimierza, który wobec historyi wyznał uroczyście, że wszystkie nieszcześcia ojczyzny wynikły z ucisku i niesprawiedliwości dopełnianęj przez szlachtę nad ludem. Król publicznie we Lwowie poprzysięga restytucyją i zajęcie się dolą ludu, na którym „*od wieku spoczywało pognębienie*“ (str. 148). Lud ośmielony „*tu i owdzie*“ podaje supliki do króla, lecz „*bolesna ta skarga, jak i votum królewskie nieznalazła odgłosu w sejmach polskich*. Stan włościjan nie uległ w istocie rzeczy żadnej zmianie“ (str. 148).

Następnie autor opisuje oburzające szczegóły wyszukanego ucisku i świadczy, iż cudzoziemcy (choć iakoby metrowie nasi i stokroć okrutniejsi dla ludu) „*przejeżdżając przez polskę, lub bawiący w nięj, nie mogli się nadziwić*“ zbytkom z jednęj strony i nędzy ludu z drugięj, bo nierozumieli „*pozornęj w rzeczy samęj zagadki*“ (str. 149?..).

Szlachta obsiada wójtostwa, gdzie może znosi łąwników, słowem „*wszystko co stanowiło choćby nawet cień niezależności kmiecia*“ (str. 150). Zagarnia jurysdykcyjną duchowną, uchwała

prawo kar cielesnych, wprowadza tortury. Tu autor za Lubomirskim i może Goromykinem dosłownie pisze, jak niemiłosiernie ćwiczone chłopa, „*wkręcano palce do korków od rusznic, wieszano na belce za pięści, lub nogi głową na dół*“; (str. 151) jak „*okurzano chłopa dymem, kładziono węgle rozżarzone w zanadrze, za niedbalstwo lub próżniactwo karano śmiercią, zbiegłemu i złapanemu chłopu obrzynano uszy i wypalano szubienicę na czole; za najmniejsze wykroczenie bito różgami*“ (str. 152).

Lecz po wyliczeniu tych okropności, autor swoją rutyną zwraca się do obrony i dodaje, że jakkolwiek cały ten *system kar (!)* był okrutny, dziki, barbarzyński, przecież nie jedna Polska go praktykowała, (!) owszem *szlachetny i miłosierny charakter narodu* (dla czego o narodzie historyja mówi, skoro rzecz dotyczy kasty?) *łagodził go o wiele*“. Na dowód autor z Lubomirskiego wypisuje fakty okrócieństw u ościennych i woła patetycznie: „*porównajmyż pastwienie się niemieckie z polską surową, ale bądźcobądź ludzką karą*“ (str. 154).

Więc tortury, wkręcanie palców do kórków, wieszanie za nogi i ręce, kładzenie żaru w zanadrze, katusze i sama kaźń są to według autora „*ludzkie kary*“?!.., Aż strach pomyśleć o wniosku jego!... Wprawdzie w Niemczech rozrzynano żołądki złodziejom, szkodnikom publicznej użyteczności jakiej i t. p. było to okropne, lecz przynajmniej o tyle usprawiedliwione, iż miało na względzie pozytywne dobro ogółu, co i sam autor przyznaje (str. 153) w Polsce zaś samowola szlachecka przez dziką fantazyją i chciwość ściagała biednego poddanego chłopa, od jego kulebki do grobu, gdyż szlacheć był tu wszystkiem, nawet panem życia i śmierci gminu. Jeśli pan P. tak skwapliwie czerpał z Lubomirskiego fakty srogości prawa niemieckiego za uszkodzenie drzew, to czemuż nie przytoczył z tegoż autora miejsca, kędy mowa, że w Polsce nawet „*za nieumyślne, przez nieostrożność spalenie lasu karano szubienicą*“, a w dodatku, wsie z których byli winowajcy, płaciły po 200 grzywien okupu? (ob. Rol. Lud. w Polsce str. 37). Czy to są *wszystkie ludzkie kary*?..“ Autor chcąc omierzić cudzoziemskie opresyje przytacza za Lubomirskim zdanie obcego autora, że tam „*za samo używanie powietrza*“

chłop stawał się poddanym, więc zauważę, iż uczony Jaroszewicz, roztrząsając stosunki ekonomiczno-społeczne Litwy w dobie opowiadania pana P. mówi nareszcie: „zastanawiając się nad powyższymi rozporządzeniami praw naszych, któż nie spostrzeże, że choć sposobem pośrednim, *wprowadzono jednak rzeczywiście ową nieludzką zasadę, iż samo powietrze czyni poddanym*“ (ob. Obr. Lit. t. II str. 158). Pokazuje się, że i nasi bezstronni i uczeni autorowie posunęli obwinienia w rzeczy panującego u nas ucisku aż do tego stopnia... Cały rozdział XV, jak widzieliśmy, jest napełniony dowodami okropności postępowania szlachty z ludem, z tém wszystkiem pan P. czasy prawdziwych „*saturnalii pańszczyźnianych*“ odkłada jeszcze do wieku XVIII, (str. 155) a na stronie następnej wpada znowu w sprzeczność, twierdząc, że gdy w Rossyi „kupowano ludzi jak bydło, w Polsce z XVIII-ym wiekiem zanosi się na lepsze“ (str. 156). Jestto, jak zobaczymy, przygotowanie czytelnika do ostatecznej obrony honoru szlacheckiego, nawet w dobie największego spodlenia — owych „*saturnalii*“ z takim naciskiem przez pana P. wspomnianych...

W rozdziale XVI autor powtarza, iż nadzieje ludu, rozbudzone za Jana Kazimierza były zwodniczemi, a jednak w wieku XVIII podnoszą się znowu z piersi ludu, jakby z *głębokiego morza, uspionego na wieki, skargi na ucisk i zdzierstwa*,“ co się wyraziło szczególnie w znanj suplice Tarczyńskięj, ale „*i te skargi pozostają bez skutku*“, (str. 157) bo „*szlachta ciemna, fanatyczna, rozpoczęła właśnie z wiekiem XVIII (???) dobę swego upadku moralnego i politycznego*“. „Do tego przyłączyła się *szkaradna pycha* w stosunkach między dworem i kmieciem.“ Następnie wszystko to autor płącze i gmatwa twierdzeniem, że chociaż owe supliki smutne pojawiły się „*w różnych stronach kraju*,“ przeważnie jednak na Mazowszu i Rusi, kedy je wywołały ucisk i zdzierstwa „*w innych stronach Polski*“ (str. 158)??!

Czytelnik wiary dać niechce własnym oczom, wyczytując to zdanie, nie mające nic wspólnego z faktami wygłoszonymi przez autora, zaś paradoksalność nieustrzeżona nawet w kilku wierszach, odurza go zupełnie.

Lecz oto znajdujemy treść supliki Tarczyńskiej pod sądem pana P. Jak deus ex machina zjawiona w roku 1767 na jarmarku w Tarczynie, według słów autora „*obiegala podowczas calą Polskę*“ (str. 159). Chociaż autor wie rok i dzień urodzin tego dokumentu, chociaż wie o jego obiegu powszechnym na dobre w Polsce, wszakże na tejże stronie, nieco niżej, wątpi o autentyczności onego, gdyż mógł być „*późniejszą (!) elukubracją, podrobioną przez naszych chłopomanów*“ (??!). Wszystko to dziwne, niepojęte dla czytelnika ze względu na pravidła pisanania i wnioskowania, lecz zarazem stwierdza, że autor brnie z jednęj sprzeczności w drugą i że czytający, uchylając sąd o rzeczy autora, powinien z faktów podanych własne wnioski wysnuwać, zgodne z istotą prawdy, nie zaś z mrzonką autora.

Projekt Tarczyński widocznie niepokoi pana P., więc pomimo, iż określił czas zjawienia się onego stanowczo, podaje zarazem ten dokument w wątpiwości, jako „*późniejszą elukubracją naszych chłopomanów*“, to znowu paradoksalnie wyszukuje ślad defraudacyi i, cofając ją wstecz do roku 1767, przypisuje fakeyi Radomskiej i zaprzecza, aby istotnie mogło być protestem ludu przeciwko panom. Nie dość na tém, autor puszcza się w pesymistyczno-polityczne domysły, mianowicie; że twórca projektu „*palonej rublami w kieszeni... niecznie zarobionymi (?) uważa sobie za obowiązek w nikczemném pochlebstwie (!) przypomnieć o Chmielnickim i języku greckim*“... (str. 164). Zauważmy, iż żaden z poważnych pisarzy naszych, o ile wiemy, w ten sposób powyższego dokumentu nie tłumaczył, że Lubomirski z którego pan P. czerpał przytaczając prawdziwie patryotyczną treść supliki Tarczyńskiej zaznacza wyraźnie wyparcie się jakiegobądź współnictwa suplikantów z obczyzną... (ob. Rol. lud. w pol. str. 47). Zaś Kraszewski w I-ym tomie znakomitego dzieła p. t. „*Polska w trzech rozbiorach*“, wzmiankując o suplicie będącej w mowie, na str. 156 przypisuje ją słusznie nie demagogom późniejszym, nie konfederatom Radomskim i zdrajcom ojezyny, jak chce pan P. jeno (może) *księdzu, pochodzącemu z włościjan i ujmującemu się na dobre za nich*. Nacisk na wiarę, wspomnienia o duchow-

nych, sam nawet styl są niejakiim dowodem tój prawdy dla Nestora naszego i dla nas wskazówką, lecz luźne przypuszczenia i paradoksalne wnioski pana P., niczego nieuczając, chyba bala-mucą pojęcia...

Jeśli nawet niebezpośrednio od ludu wyszła suplika Tarczyńska, to dlaczegoż treść jój nie mogła być wyrazem boleści ludu naszego?!... Przecie zgnębiony do rdzenia potrzebował ratunku i ulgi, a jak widzieliśmy z przytoczeń autora, lud miał utartą tradycją dopraszania się sprawiedliwości przed prawem. Autor zaprzeczywszy autentyczności suplice Tarczyńskiej z kolei zaprzecza i późniejszym, które się pojawiły w dobie sejmu czteroletniego, twierdząc, iż „*niemożna ich uważać za wyraz istotny potrzeb lub skarg chłopów*“, lecz chyba jako produkt agitacyi kilku „*zacnych*“ (!) ludzi (str. 165). Pocóż jednak autor natychmiast cofa istotnie ^{frakcje} ~~zdanie~~ i utrzymuje, że wszystkie te supliki, *bardzo liczne*, będąc podobne treścią „*oznaczają pewien ruch umysłowy między ludem ku* końcowi XVIII wieku, pewną reakcją przeciw *uciskowi*, pewną energiczną chęć *wydobycia się z tego stanu, w jakim od trzech wieków się znajdował*“; że ten ruch, „*idąc od dołu*, spotkał się z *idącym od góry*“, co wszystko miało wytworzyć „*szereg pięknych objawów w chwili rozkładu i zgonu Rzeczypospolitej*“... (str. 166). I prawda i fałsz jakże śmiało są tu zmieszane razem, a emulsyja ta umysłowa tém ujemniejsze robi wrażenie na czytelnika, iż zmierza do uniewinnienia strasznie obwinionych, w ostatniem słowie książki...

W siedmiu następnych rozdziałach autor postanowił bądź-cobądź dowieść rzekomej restytucyi szlachty względem ludu w czasie „*saturnalii pańszczyźnianych*“ (zauważmy) i tymi dowodami całkiem się zabłąkawszy, prowadzi na manowce myśl czytelnika... Pokróćce przypatrzmy się chaotycznemu obrazowi, rozwikłajmy kolosalne sprzeczności i wykażmy istotną treść dziejów ostatnich, które pan P. koniecznie pragnie oświecić swoim sztucznym światłem. Znajdujemy tu opisy, wzięte prawie dosłownie z Lubomirskiego, reform czynionych przez Jabłonowską w Siemiatycach, przez *mieszczan* poznańskich w dobrach Zegrza i Ratajów, w Mogile, Kaczanowie, w Bieżuniu Zamoy-

skiego, w starostwach Puckiém i Mirochowskiém, w Pawłowie Bzostowskiego, w Szczorsach Chreptowicza. Te stosunkowo drobne fakty, autor przeciwstawia „*saturnalijom*“ powszechnym, (str. 174) utrzymując z trudną do uwierzenia przechwałką, iż są „*zwyciężkiem odparciem oszczerstw rzuconych na naszych przodków*“... (str. 179). Takie słowa wobec faktów zapisanych uroczyście przez samego autora, to jak przeszłoroczny wiatr... Badając owe reformy zaniejszych lub tylko rozsądniejszych jednostek, musimy przyznać im dobrą wolę, czy też rachunek lepszy; lecz któż bezstronny nieodstrzeże w treści prawie wszystkich tych instytucyj więcej omyłek i starego zapatrywania się, niż nowego, prawdziwie liberalnego i politycznego sensu?!... Naprzód zaznaczam, iż żaden z reformatorów stanowczo ludu *nie uwłaszczył*, nie stworzył z nich *obywateli* w pełném znaczeniu tego wyrazu. Wprawdzie pan P. twierdzi dziwnie, że „*toby przyspieszyło upadek, a nikt niéma prawa przyspieszać sobie ostatniej chwili*“... (str. 175).

Każdy rozsądny czytelnik, spotkawszy takie zdanie jeno ramionami wzruszy, bo dzieje innych krajów mówią nam co innego mianowicie: że *najkrytyczniejsze przewroty nie gubiły społeczeństw, jeśli które siebie apatują i złą wolą nie zabiło samo*... Zresztą czemuż nie przyspieszyć zgonu o godzinę byle pozostał honor i chwała czynu poświęcenia się dla idei, dla prawdy ukochanej!... Zginęliśmy bez niej, lepiej więc byłoby z nią ginąć ryczałtem. Niezawodnie rozumniejby zrobiła Jabłonowska, nadając ziemię całkiem na własność kmiecica, nie karząc *stu plagami na rynku* za kupowanie wódki w cudzych karczmach, (str. 173) niż wzmacniając pańszczyznę, „*tego raka życia naszego*“... (str. 174) niż przepisując, aby jeden człowiek dziennie z boiska do świrna 60 korcy zboża prznosił, o czém pan P. zamilcza, a co według uwagi słusznej Goremykina nawet koniowi byłoby trudném. Lubomirski w swém źródłowém dziełku. „*Rol. Lud. w Pol.*“ (od str. 56—60) streszcza uciążliwą wsteczną ustawę *smięd*tycką i kończy znacząco temi słowy: „*gdzie niéma swobody, tam śmiech jest świętokradztwem, a smutna łza rozpaczliwą pociechą*“...

Pan P. zatłwiwszy się z reformą Jabłonowskiej, wola patetycznie, że Wielkopolska, która najbardziej zawiniła daje w roku 1733 pierwsza przykład restytucji. I cóż znaczy to twierdzenie skoro nie szlachta jeno „*zadne mieszczanstwo*“ (str. 177) poznańskie nadaje reformy wsiom Zegrze i Ratajew!.. a choć autor, pomimo zaświadczonej zacności mieszczan, utrzymuje teraz paradoksalnie, iż byli oni „*dumną i pyszną warstwą*“, wszakże mieszczanie oswabadzający lud swój to nie szlachta, o dumie zaś ich nie tu miejsce dyskutować i przeciwstawiać ją dumie udekorowanych klejnotem.

Jakkolwiekby, a postępki mieszczan poznańskich, pochodzących od zbiorowej decyzji wielu, wymowniejszy jest niż pojedyncze reformy panów... Atoli twierdzenie autora jakoby system reform w ordynacji poznańskiej oparty na wiecznej dzierżawie był „*jedynie u nas racjonalnym* (?) słusznym i historycznym“ (str. 177) grzeszy zarówno wobec dziejów naszych, jak wobec praw ekonomii narodów i zasad moralności w ogóle, a naszej szczególnie... Niepodobna wdawać się tu w polemikę o tej materii, mamy jednak ten przedmiot opracowany, zresztą każdy prawy, szczerzy i nieuprzedzony polak powinien rozumieć doniosłość zasady, która nawet niepotrzebuje dowodzeń, bo jest jasna jak słońce... Tylko żakamieniały konserwatyzm może usprawiedliwiać cyniczny egoizm naszych przodków, którzy o zrobieniu słusznego ustępstwa własności ludowi słuchać nie chcieli. Prawdziwa miłość musi wyrażać się ofiarą, więc choć na ustach szlachty brzmiała rozgłosnie, zbiorowych faktów rzetelnego poświęcenia się dla sprawy ogółu nie było bodaj nigdy... Lecz idźmy dalej.

Reformy sądownicze w Mogile, sam autor uważa jako przedsięwzięte nie dla „*żadnych wyższych moralnych pobudek*“ lecz przez „*interes własny*“ gdyż „*podstarości nie mógł sobie dać rady z chłopami*“ (str. 180). Pocóż więc tak blahy fakt wystawiać niby znamię liberalne wieku i ducha kasty?!.. Znowu mówiąc o reformach w Kaczanowie, podjętych „*dla większej intraty*“, autor kładzie nacisk, że one wskazują „*siłny ruch w Wielkopolsce w zakresie losu kmieiego*“ (str. 181)!.. Ależ zauważmy,

że to była wieś duchowna, a reforma Kaczanowska polegała tylko na „*oczynszowaniu wieśniaka*,” co autor nazywa jedynie „praktycznym i bardzo rozumnie pomyślanym (?) wobec sielankowych marzeń krzewiących się we wschodnich prowincjach Rzeczypospolitej...” (str. 182). Jakaż to dowolność kapryśnego sądu o rzeczy!..

Daléj autor w trakcie opowiadania o rozwijaniu się jakoby zacnego ducha pomimo saturnalii powszechnych, uważa „za obowiązek zaznaczyć *najdrobniejsze drgnięcia*,” obudzonego sumienia narodowego „*w sejmie*,” bo chociaż to sumienie „odbija się tutaj *bardzo nieznacznie, bardzo ubogo*” „wszakże” szereg tych drobnych kamyków tworzy „*pyszną mozajkę (!) wspaniały monument (??)* dla naszych ojców, którzy jeżeli nie umieli umrzeć z bronią w ręku (!) to przynajmniej skonali z księgą praw, (!) z uśmiechem ulżonego sumienia...” (str. 183)!.. ileż tu słów próżnych i bałamutnych!..

W rozbiorze reform dokonanych przez Zamoyskiego w Bieżuniu autor sam przyznaje, że się one nawet „nieposunęły tak daleko jak mieszczan i kapituły poznańskiej, bo o wyzwoleniu i swobodzie osobistej poddanych” tam mowy niéma, a „*grunta pozostały własnością dworu*” (str. 184). Reforma Zamoyskiego zaledwo się redukuje do samorządu, (str. 185) i oczynszowania, ale *propinacyja*, ten kamień węgielny demoralizacyi i zysków szlachty i tu przecie została przy dominium (str. 186). Zauważmy jednak, czego pan P. nie objaśnił, że oczynszowanie włościjan przez Zamoyskiego tylko 8 lat trwało, gdyż w roku 1773 pańszczyzna została znowu wprowadzona i żywe inwentarze odebrane od chłopów na rzecz dworu (ob. u Lubomirskiego Rol. Lud. w Pols. str. 65 i u Goremykina str. 117).

Czytając o nowéj organizacyi ekonomicznój Przebendowskiego w starostwach Puckim i Mirochowskim widzimy, że i tam chłopci muszą oddawać dworowi zbywające produkty i kupować od dworu rzeczy potrzebne... (str. 188) wszakże ów reformator, „*pierwszy w Polsce*” (?) zaleca gromadzie utrzymanie nauczyciela, (str. 189) a choć autor się zachwyca tym czynem, my jednak robimy uwagę, że mógł Przebendowski zrobić

zrobić poczciwiej, zakładając szkółkę w imieniu dworu, bez obarczania włościjan niezrozumiałym bodaj dla nich obowiązkiem.

Pan Przyborowski dalej, kreśląc obraz ubóstwa ekonomicznego Polski, znajduje, że przyczyna tak straszego „*bezprzykładnego upadku rolnictwa*“ u nas w wieku XVIII była w pańszczyźnie, w daninach, w gospodarstwie „*folwarcznem wielkiem*,” (str. 190) bowiem na „*olbrzymich obszarach*“ kraju uprawiano zaledwo małą część ziemi — słusznie.

Jeśli więc pańskie fortuny marnie pochłaniały nędzne siły gminu, a reszta gleby leżała odłogiem, to czyż nie należało ożywić te siły i produkcją, uwłaszczając oswobodzonych wprzód braci włościjan?! Lecz pan Przyborowski nie podziela tój *chłopotomani* i jak zobaczymy, nawet na człowieka *najświętszej pamięci w narodzie* rzucił poszlakę lekkomyślności prawie demagogicznej... Póki co autor roztrząsa pamiętne postanowienie Sejmu 1768 r. w rzeczy prawa życia i śmierci nad włościjanami; widzi w tój konstytucyi „*wysoki rozum*“ (!) ze względu, iż prawa szlachty na ziemię „*krwią i ofiarami nabyte*,” (!) całkiem historycznie (!) zachowane zostały (!) Zachwyca się tym pierwszym krokiem „*wspaniałym, (!) rokującym nadzieje*,” co chłopca podniósł (*jakoby*) do „*godności obywatelskiej*,” gdyż odtąd szlachcic miał gardłem płacić za gardło (str. 191).

W całym tym ustępie więcej pysznego fajerwerku wyobraźni, więcej błędu niż prawdy... Jużciż ustawa 1768 r., biorąc rzeczy jurydycznie, była krokiem naprzód w prawodawstwie naszym, lecz zastanówmy się w jakich to okolicznościach ona powstała?!.. Straszna groźba odwetu zgnębionego ludu, niby miecz Damoklesa, zawisała była nad głową szlachty; „*Koliszczyzna*,” cienie Gontów Żeleźniaków, Charka i innych przerażały ją, a supliki wrzącego pospólstwa ostrzegały o niebezpieczeństwie.

Ale my wtrąćmy uwagę poważną, mianowicie: że dość przeczytać *akt limity* sejmu tego (ob. Vol. Leg. T. VII, str. 244 — 245) aby się przekonać ze wstydem, jakie to wpływy działały na reprezentantów...

Dziejopisarze nasi jakby z umysłu niedotykają tój drażli-

wój kwestyi, lecz obcy mówią wyraźnie, wszakże ja przez dyskrecyją pewną bliżej tłumaczyć nie będę a ciekawy zajrzawszy do źródła łatwo zrozumie skąd główny wiatr wtedy wiał i nadawał kierunek izbie sejmowej... Bądźcobądź, czemuż to w artykule XIX rzeczonj konstytucyi owa liberalna szlachta tak stanowczo zastrzega sobie na zawsze nietylko calość własności terytoryalnej, lecz i poddaństwo ludu? Widać smakowała jēj niewola braci!.. Czy można się tym krokiem tak dalece zachwycać, kiedy i następne téż nie wywołują wcale, jak przekonam, radości serc i umysłów szczyrych, nieuprzędzonych... podobało się autorowi nazwać to „*wspaniałym, miłym sercu obrazem*“ (str. 191) co było za ledwo półśrodkiem i w gruncie *poniewolnym* dla ogółu... a przytém co nie miało w rzeczywistości się spełniać, gdyż posiadamy świadectwa wiarogodnych mężów naszych, że później zabijano bezkarnie jak i przedtém, więc to było już zbrodnią podwójną choć mniej kosztowną.

Uczony, zacny i prawdomówny Jan Bandkie powiada z goryczą, że szlachcie w Polsce zabijając chłopa, „*placił workiem nie skórą,*“ a sławne prawo z roku 1768, „*szczerą prawdę wyznając, byłoby czczym przepisem, jakowy nie miał i mieć nie mógł wykonania;*“ że i prawo Litewskie, chociaż dawniejsze, opiewające w Rozdziale XII, w artykule 1-ym karę gardła na mężobójcę, ze względu na różne dowcipne i niepocziwe formalności i możność wyprzysiężenia się, bodaj tylko „*dla głupców było pisane,*“ gdyż każdy przebiegły ~~niemato~~ łatwo mógł uniknąć odpowiedzialności i unikał (ob. Prawo Prywat. Pol. str. 149). Bandkie dodaje, opierając się nawet na wstecznym Ostrowskim, że i konstytucyja z roku 1726 na Litwę uchwalona, ~~była~~ niby bardzo obowiązująca ściagać mężobójców, była w gruncie niczém, „*prawem niegodném téj nazwy,*“ (Ibid. str. 150) „na pozór tylko barbarzyństwo zakalane zniosła“ (Ibid. str. 78). Sam autor w Rozdziale XXI na str. 209 przyznaje niewykonalność prawa z roku 1768 i potwierdzenie onego z téj przyczyny w r. 1784 t. j. w 16 lat później. Za dalekoby uwagi w téj materyi nas zaprowadziły, lecz w tém miejscu niewłaściwa nawet polemika, a na zarzuty można odpowiedzieć specjalniej.

Autor, najszczerze, najszlachetniejsze reformy Pawła Brzostowskiego w Mereczu, chociaż i włączył do dowodów, skrzętnie zbieranych na rzecz naszej ryczałtowej zacności, z tém wszystkiém przeżywa trywialnie marzycielstwem i sielankowością bardziej niż czynem praktycznym. Zauważmy jednak, iż Brzostowski był księdzem, co téż *czasem* u nas odejmowało charakter świeckiego szlachcica; skoro zaś włościanie Merecza, jak wiadomo, odznaczyli się wyjątkową ofiarnością na rzecz kraju, widocznie więc „*marzycielstwo*“ twórcy ciekawej Rzeczypospolitej nie było tak ekscentrycznym, dając nowe wierne dzieci biednej, styraniej ojczyźnie... Dorzućmy, iż pan P. na str. 194 ograniczenie gospodarstwa folwarcznego w Mereczu nazywa *po-myśłem dobrym i bardzo pięknym*, i na str. 190 wogóle przypisuje upadek polskiego rolnictwa latifundiom, wszakże na str. 197 cofa te zdania, mówiąc, że pomysł Brzostowskiego w rzeczy redakcyi obrębu folwarcznej uprawy *stanowi wadę reformy jego*...

Mała sprzeczność w błędnym kole wniosków autora, lecz ja považam się stanowczo twierdzić, iż zacny reformator właśnie tém dał dowód najzdrowszego sądu o kwestyi ekonomiczno-społecznej, bo ustąpienie ludowi rolniczemu jego warsztatu stanowiło zadanie ówczesnej doby, czego jednak szlachta z tytułu zakorzenionego przesądu o wielmożności swojej, wykonać nie umiała praktycznie i poczciwie.

Może przykład Brzostowskiego nie mógł być ściśle brany za wzór przez ogół ziemian, lecz w każdym razie jako pojedyncze zjawisko był piękny i zupełnie praktyczny, bo skoro dwór rozciągnął ojcowską opiekę nad gminem i urządził *Rzeczpospolitą*, więc nie znalazło się już miejsca dla dawnego porządku rzeczy z nienawistną dla ludu pańszczyzną. Również uważamy za arcy mądry punkt w ustawie Mereckiej *niemożność podwyższania opłat przez dwór chyba za zgodą gminy*. Wszak na tém się niemal zasadza prawo konstytucyjne wszystkich społeczeństw wolnych; a jednak pan P. i za to przymawia Brzostowskiemu (str. 197). Zawsze ogół uradzi lepiej o słuszności na mocy prawa, niż wola kapryśna jednego, skoro zaś zachodzi moralny związek społeczności ze zwierzchnikiem, jakaż może być obawa

o środki dla podtrzymania wspólnego dobra? Jedno jest prawo w tym względzie dla wielkich grup ludzkich i małych społeczeństw bo jedna prawda moralna, jak jedno słońce oświecać i ożywiać wszystkie serca i umysły powinna... Tylko zacięci w pysze, nie podatni na ludzkie idee satrapi nie pojmują tej wzniosłej zasady i one traktują z podejrzliwością właściwą ludzom bez serca; lecz czemuż historyk zdaje się ją lekceważyć w zarodku?...

Pomimo ciągle spotykanych sprzeczności w dziele pana P. i zdań rażących niepodobna z nimi się oswoić, więc mimowoli budzą coraz większe podziwienie czytelnika...

Zaznaczamy, iż autor, mówiąc w rozdziale XX o reformach Joachima Chreptowicza w Szczorsach i *Wiszniewie* mylnie *Wiszniew* razem ze Szczorsami kładzie w Województwie Nowogrodzkiem, (str. 198) gdyż ten leżał w Województwie Wileńskim.

Następnie w opisie znajdujemy nazwiska jeszcze niektórych reformatorów jak: Adama Czartoryskiego, Michała Poniatowskiego, prymasa i Tyzenhauza. Z tych kilku pocieszających przykładów autor wnosi, że „gdyby *dobrze poszukać* toby setki (!) takich znaleźć można było,“ wszakże „fakty przytoczone wystarczą dla przekonania czytelnika, że u nas w XVIII wieku z prywatnej inicjatywy robiono *bardzo wiele*“ (?). Pytamy: czy to nie zakrawa czasem na żart, szczególnie gdy spotykamy zdanie, iż takowe badanie rzekomych faktów „*nie doprowadziłoby do niczego*“? (str. 201).

Jaka to poczciwość grała w sercach *ogółu* tak bronionego przez autora, świadczy wymownie stan umysłów na sejmie 1780 roku, skoro nawet więcej niż umiarkowany projekt reformy Zamoyńskiego przez *tłum wyrodków* został zhańbiony, „*podeptany i nazawsze usunięty*.“ Sam pan P. mówi iż „*masa średniej szlachty*,“ „*bezmysłne jej tłumy*“ (str. 202) stanęły oporem, duchowieństwo ogłosiło reformatora kacerzem, „*magnaci także wzięli swój udział*,“ słowem wszyscy i tylko „*niewielka liczba ludzi kraj kochających*“ współczuła projektowi... (str. 204). Zapytuję więc: w cóż się obraca całe uprzednie rozumowanie autora po takich wyznaniach jego, jakieśmy teraz przywiedli?...

To téż utrzymujemy razem z panem P. że projekt Zamoy-
skiego nie mógł wyleczyć naszego Babilonu... (str. 205) ale ze
wstrętem odpieramy stokroć paradoksalne zdanie, na trzeciej
z rzędu strony wypowiedziane figuralnie, że ów Babilon nie
był dziełem naszych ojców, że „strumyk drobny“ mógł się
zmienić w wielką, wspaniałą rzekę, lecz coś z boku przeko-
dziło... Nie! zaprawdę, historyk tak płytko brać rzeczy nie po-
winien! siedm wieków przygotowywało katastrofę, a garstka
cnotliwych nie mogła podolać sile nizezemnej „rojnej rzeszy“..
Strumyk nasz wypijać zaczęły potwory w bardzo dalekiej prze-
szłości i dla tego suchą nogą przestąpili później łożysko jego, ci
co przestąpić chcieli...

Sledzącemu bieg stosunków społecznych w ostatniej dobie
kraju, trzeba chyba mieć dobrej woli, by utrzymywać, że rze-
czą możebną było kraj ratować półśrodkami. Musiał znać do-
brze ówczesną Polskę autor słynnego „Horoskopu politycznego“
gdy pisał: „cokolwiekbyście o reformie prawodawstwa postano-
wili, posłuży tylko do podźwignięcia panujących przesądów,
a wzmocni nieprzyjaciół waszych“ (porów. Pol. w 30th rozbiór.
Krasz. T. I, str. 229).

Jakoż wtrąćmy, że nawet w ostatniej chwili nieumiano
wznieść się na szczyt ofiary bezwzględnej, bo Kościuszkę, wiel-
kiego cnotą i sercem męża, co jeden może rehabilitować czarną
przeszość naszą i jest chlubą ludzkości całej, przewano dema-
gogiem za to, że ludowi przepowiedział własność i swobodę...
O tém tomy pisaćby trzeba, lecz zdanie, które wyraziłem jest
treścią dowodów niemylnych, ściśle historycznych i tylko nie-
dojrzałość duchowa, przyrodzona pycha nasza i głównie szla-
checkie przeważnie pochodzenie autorów polskich są przyczyną,
że prawda dziejowa płaszczem obłudnego fałszu się okrywa,
a mało kto nazywa ją po imieniu... Tak, istotnie kiedyś byli-
śmy Babilonem, w słowiańszczyźnie! Raz uznawszy tę prawdę,
szanujmyż ją, gdyż prawda tylko goła może służyć za znamię
dla przyszłości naszej, nigdy zaś apologija, którą ogół oprzy-
tomniony kiedyś tak wzgardzi szczerze, jak nią wzgardzają te-
raz jednostki te, co prawdziwie czują myślą i działają po polsku.

Wiele bardzo wiele możnaby powiedzieć o trzech pozostałych rozdziałach książki pana P. lecz niepodobna w recenzji, która i tak przydługa, wyczerpnąć wszystko, ograniczymy się więc o ile można, streszczając zarzuty. Autor na dowód rozbudzonego ruchu szlacheckiego, mówi gołosłownie o 38 broszurach, jakowe wyszły w ciągu sejmku czteroletniego, poruszających sprawę ludu; wszakże pod pretekstem, że „niepodobna zajmować się *tymi śmieszkami*“ (?) częstokroć „*najdziwaczniejszymi*“ (!) zaledwie raczył wspomnieć i to dwóznacznie jakoś o Staszicu, tym gromie przecacnej, bezwzględnej prawdy na głowę ogółu ówczesnej szlachty!...

Potém jednak autor spieszy objaśnić, iż „szczęściem, na zaszczyt narodu i wieku, nie wielu bardzo, *mało nawet*“ było takich którzy „zalecali utrzymanie status-quo...“ (!) na potwierdzenie zaś tego przytacza wsteczną broszurę Trynitarza Ignacego, utrzymując, że skądinąd była to „osobistość całkiem nieznaną i prawdopodobnie pod tym pseudonimem (?) kryje się ktoś inny“ (str. 210).

Otóż wyjaśnijmy, że ks. Ignacy de Mercède był dobrze znanym tak z pozycyi, jako Jenerał Trynitarzy polskich, jako też i z autorstwa kilku dzieł wiadomych wszystkim bibliografom naszym. Był to więc człowiek wpływowy, a broszura jego jest areydzieniem w swoim rodzaju, którą pan P. zna zaledwo z przedruku Uruskiego w wyjątkach, bo niezmiernie rzadka, lecz piszący posiada ją w oryginale i rozmyślał ze wstydem, że pióro polskie coś podobnie potwornego wydać mogło!.. Broszura ta była głośną i wnet znikła z półek księgarskich, gdyż podobała się tłumom szlachty, zebranych podczas sejmku wielkiego w stolicy. Świeża tradycja bluźnierstwa Trojanowskiego dobrze tkwiła w pamięci szlachty, to też prawie nie wywierały wrażenia na *sumienie publiczne* gromy Staszica, głębokie uwagi Kollataja, Pilchowskiego, Niemcewicza, szyderstwa genialnego Krasickiego i chłosta rubasznego „Narucha;“ nie działały świetne przykłady wyjątkowych ludzi w „*narodzie szlacheckim*“ i ojczyzna leciała w przepaść, pohana tam nie przez fatalizm, lecz przez związek przyrodzony przyczyn i skutków, przez proces

potężniejszy nad pojedyncze wole i zabiegi... Wszystko co nikczemne taki, a nie inny, koniec czeka i tylko zaślepiona pycha niedostrzega téj prawdy wiecznej, tak samo sprawdzając się nieustannie na pojedynczych ludziach jak i na kolosalnych społecznościach!... Olbrzymie kraje nie tu nie znaczą, zmiata je zarówno z karty dziejów prawo mądrości, jak drobne państewka, jeśli poczciwie, rozumnie sobie nie radzą...

Babilon musiał runąć i wszeteczna Roma, upadła Polska szlachecka w gruzy, tak samo w proch się obróca wszelkie potęgi hołdujące nieprawości!... Oto ostatnie słowo nauki prostéj, niczém niezbite i bogdajbyśmy w nią wierzyli, nie jak dzieci, lecz jak męże przez rozum szczerzy!.. I cóż to pan P. z taką pewnością, aż po razy dwa upewnia, że broszura Ignacego Trynitarza była jedynym protestem przeciwko reformom dla ludu? (str. 211). Wszak niezależnie od ogólnej opinii wstecznej szlachty, przed którą „Sprzysiężeni“ twórcy konstytucyi 3-go Maja musieli się skrywać w podziemiach królewskiego zamku, krzyczała szlachta z trybuny sejmowej i wychodziły druki, świstki, najgorszą wolę dla reform okazujące. Pan P. nieuważając za potrzebne badać tych rzeczy, nie dziwnego, że niewiele wie o nich, jednak z tytułu historyka ludu polskiego powinien był wiedzieć, a przynajmniej z taką śmiałością nie twierdzić, co zakrawa na zupełne lekceważenie czytelnika. Panu P. należało znać chociażby działalność sławnego Jacka Jezierskiego kasztelana Łukawskiego (tego, który na sejmie 1775 r. pierwszy przystąpił cynicznie przez leżącego w rozpacz cnotliwego Rejtana) „wystosowaną przeciwko znakomitej pracy nieśmiertelnego Staszica:“ „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“ i inne zamachy na wolność ludu w téj dobie. Przytoczmy je krótko:

Jezierski, chociaż sam w dobrach swoich czynił nieco ulg dla chłopów, jednak, według słów trafnych uczonego Tadeusza Korzona „przerażony zbyt wielkimi żądaniami i chcąc zahamować autorów postępowych“ w broszurze z roku 1790 p. t. „*Wszyscy błędzą*“ nie wahał się dowodzić sofistycznie, iż tacy *torują drogę do buntu* i sprowadzają krwi niewinnej rozlew (str. 34) i że *poddaństwo chłopu nie jest niewolą, skoro szlachta poddana jest królowi* (str. 4). Innych bredni niepowtarzamy.

Wprawdzie przeciwko tej broszurze wystąpił anonim w książeczce p. t. „*Nie wszyscy błędzą*“ a „*Odezwa galicyjanina*“ w roku 1790 odmalowała w przerażających kolorach stan poddaństwa w polsce, wszakże zjawiały się broszury, pod pokrywą liberalizmu przeprowadzające zasady względem ludu zupełnie wsteczne, jak naprzykład broszura z roku 1790 p. t. „*Starych uprzedzeń nowe roztrząsania*.“ Takie same lub gorsze zdania znajdujemy w broszurze z roku 1792 p. t. „*Sposób łatwy i pewny ulepszenia losu ludzi poddanych*“, tudzież w „*Projekcie sejmowym z autora Zgoda i Niezgoda wynikającym*.“ Równie i Nax Ferdynand hydraulik króla Stanisława Augusta w swych „*Prawidłach ekonomiki*“ z roku 1790 żąda tylko *niewiele sprawiedliwości* dla chłopów, ale nie swobody przynależnej człowiekowi, a tём bardziej uwłaszczenia.

Dodajmy, że gdyby rzeczywiście „*naród szlachecki*“ myślał szczerze o narodzie chłopskim, toby przedstawiciele sejmu na pierwszym planie postawili kwestyją włościąńską, tymczasem jednak rozprawiano o skurach, o tantiemach dla zasłużonych, o fikcyjnem wojsku „*sprawa włościąńska nie była przedmiotem rozpraw specjalnych*“, (porów u Korzona T. I, str. 422) i tylko wtedy poruszano ją i to z pewną bojaźliwością, gdy bezczelne nadużycia panów dochodziły do wiedzy sejmu, jak naprzykład w rzeczy obarczania chłopów poborami ustanowionymi na wojsko, *za co jednak kary nie naznaczono*, i nawet zacy Niemcewicz broniąc chłopów na sejmie, przez bojaźń aby nieobrazić większości, dowodził, że *nie o wolność ludu mu chodzi jeno o zasłonięcie go od przemocy i ucisku niełitościwych panów* (ob. Głos Niemcewicza w Dyjaryjuszku na sesyi 54 z d. 26 Stycznia 1789 r. T. II, cz. I, str. 302. Cytata i u Korzona T. I. str. 423).

Niewiele śmieliej rozprawiano na sejmie dnia 13 Kwietnia 1790 r. z powodu praktykujących się nadużyć dziedziców i snac były one wielkie, skoro pomimo najwsteczniejszych głosów sejm postanowił, zapewne w obawie buntów, rozesłać „*partykularne listy*“ do komisji cywilno-wojskowych, zalecając, aby ucisku nie dopuszczały (porównaj u Korzona str. 427).

Jakie przemawiało usposobienie, niech świadczy ten fakt, że

nawet Kołłątaj, pisząc swe prawo polityczne, zachowuje lud w poddaństwie panów, bo cóż znaczą teoryje autora o prawach człowieka skoro ludowi nie przyznaje prawa do bezwzględnej własności ziemi i ustanawia *sądy dworskie*, nadające dziedzicom moc karania chłopów plagami; to też słusznie mówi Szujski, że przy wolności szlacheckiej działały się u nas wszelkiego rodzaju szkaradziejstwa, których nikt nieusprawiedliwi przykładami obcymi.

Napróżno dzisiejsi apolożyści chcą bronić przeszłość i obwijać w bawełnę prawdę, zestawiając fakty spełniane w ojczyźnie z wziętymi z krajów ościennych. My oświadczamy jednak śmiało, że pomimo katastrofy wiszącej nad głową narodu, nie tylko ogół, lecz nawet i pojedyncze osoby nie pojmowały całkiem jasno co należy czynić, aby ratować kraj. Rozprawiano czasem pięknie, ale to gawędziarstwo było czczem w gruncie, bo mi chyba drugiego, tak szczerego głosu jak Staszica nikt nie wskaże, on bodaj jeden w dobie sejmu czteroletniego żądał otwarcie i swobód i uwłaszczenia dla ludu.

Wiekopomna to postać w narodzie!

Jeśli istotnie tak pocziwy duch wiał z łona szlachty, to dla czegoż, według słów autora „Konstytucya 3-go Maja nie zrobiła tyle ile spodziewać się można było“?. (str. 212). Na to pytanie odpowiada nam sam autor, mianowicie, że pocziwe zamiary paraliżowane były przez ludzi *dawnych* pojęć (ibidem).

Karol Libelt w znakomitej pracy pod tytułem „*O odwadze cywilnej*“ mówi, że straszny wizerunek stanu rzeczy u nas pod czas sejmu 1790 r. skreślony przez nieśmiertelnego Staszica jest nawet o wiele jaskrawszy jaki nakreślił Corne, malując swoje społeczeństwo. Oto zdanie mistrza naszego o dobie sejmu 4-ro letniego.

Musiałab być zaprawdę poważna kupa tych ludzi okropnych, kiedy nie podobna było nic zdziałać uczciwym na ratunek kraju, a dzieło bardzo umiarkowanie postępowe zostało zburzone przez łotrów... Ale pan P. znajduje otuchę dla serc naszych dowodząc, iż Kościuszko w roku 1794 ratował honor szlachecki w obozie pod Połańcem (str. 213). Niepodobna nie wzruszyć

ramionami zasłyszawszy taki próżny ogólnik. I cóż to autor mówi?! Wszak Kościuszko nie miał nic wspólnego ze szlachetczyzną, będąc republikaninem do szpiku kości, i dlatego oburzył swym uniwersałem szlachtę, ściągnął na siebie jej wyrok potępienia, a chłopom nie wiele ulżył, gdyż większość szlachty nie spełniała rozporządzeń Dyktatora w rzeczy pewnych zwolnień dla tych rodzin włościjańskich, które dawały żołnierzy na obronę kraju!... Jeśli pan P. tego nigdzie nie wyczytał, to już ja wtém miejscu wykładać historyi nie będę; lecz tak było jak mówię. Zrobię jednak zapytanie: jeśli pan P. czynem wielkiego męża w narodzie chce bronić przeszłości szlachty, dlaczegoż jednocześnie ma za złe Kościuszce, że ten ziemię obiecał ludowi?.. (str. 213).

Nie jeden pan Przyborowski, lecz i inni pisarze nasi, trzymając się niby zasady prawnej, zaprzeczają prawa na ziemię. Jestto błąd historyczny i moralny zarazem; taka metoda rozumowania zdolną jest uprawnić największą bezecność, byle ta posiadała dawność jurydyczną. Tu nadmienię, iż historyk włościjan p. Maciejowski, zaprzeczając Lelewelowi, powiada, że lud nasz właściwie nigdy nieposiadał ziemi i mylnie wielu twierdzi za Lelewelem, jakoby własność dziedziczną ludowi wydarto (ob. Hist. Włóś. str. 213).

Co to jest? Jakże z ust dziejopisarza i prawnika mogło wyjść takie twierdzenie? Przecie w zamierzchłej przeszłości *gmina Lechicka* władała ziemią dziedzicznie; później też byli kmiecie czynszownicy, *byli i właściciele*; jedni, jak powiada uczony Bandkie, dowolnie opuszczali panów, drudzy nieprzystawali być „*właścicielami i dziedzicami gruntów swoich i w przywilejach za takich mian*“ (ob. Prawo Prywat. Polsk. str. 145). Ziemia nabyta przez kupno, albo wykarczowana zpod lasu pracą moczolną, stanowiła własność niezaprzeczoną tego, co ją tak zdobył, a chociaż niekiedy z wydobytych „nowin“ biskupi ustanowili sobie *dziesięcinę*, czynili to nieprawnie, bo jak twierdzi Bandkie, „*żadna ustawa ojczyzna do tego nieupoważniała*“ i dodaje, opierając się na Miączyńskim, że jaka bądź służebność z nowin żadaną być nie mogła i niepowinna była się uiszczać (Ibidem str. 317—

318). Sam pan Maciejowski przyznaje, iż *były dziedzictwa ludowe nabyte i onemu równe* przez własną pracę „wyczynione“, którym znowu autor przedstawia dziedzictwo *dane warunkowo* (ob. Hist. Włoś. str. 213 i 219). Jakże tedy pan M. utrzymuje, że kmieć nie miał prawa na ziemię?! A szlachta zaliż je miała wiecznie i bezwarunkowo?! Przecie do paktu Koszyckiego szlachta polska władała ziemią tylko na prawie lenném i odtąd posiadała ją dziedzicznie (ob. w Bandkiem Prawo Pryw. Pols. str. 283 i u Naruszewicza Hist. T. VI str. 196). W Litwie zaś zaledwo w 1566 roku prawo lenne ustało (Bandkie ibidem). Tak dobrze więc kmiecie jak i szlachta mieli i mają prawo na ziemię w ojczyźnie, a pierwsze ograniczenia przez szlachtę tego prawa kmieci jest grzechem śmiertelnym, którego skutki gorzko oplakuje dzisiejsze biedne pokolenie owych szczęśnych, a tak niesprawiedliwych prawodawców!.. Tych kilka uwag bodaj wystarczy, bo one tłumaczą prawdę i odpięrają wszelkie egoistyczne roszczenia szlachty do wyłącznego dziedzictwa.

Wbrew naszym historykom legitymistom, chcącym wmówić, że lud pierwotnie nie był posiadaczem ziemi, gdyż jakoby ta należała do panującego, uczony Samuel Bandkie, a zanim Szajnocha jedną prostą, lecz dzielną, uwagą rozproszyli tę dziwną mrzonkę. Mistrze ci mówią z nieprzepartą logiką, że skoro gmino-władztwo raz uznano jako pierwotną formę urządzeń Lechii i gdy nie jakiś herszt wędrującej hordy ją podbił, lecz naród osiedlony wybrał sobie dobrowolnie kmiecia Piasta na króla, musiała więc ziemia należeć do narodu, a równy uprzednio wszystkim ubywatel, późniejszy władzca, nie posiadał chyba przedtém ziemi, która oczywiście była własnością ogółu gmin krajowych. (ob. „Tygodnik Literacki“ za rok 1843 str. 300). Że zarazem monarcha wsparty siłą rycerstwa przywłaszczył sobie prawo na ziemię i ją rozdawał swym służalcem, to rzecz wcale inna i tego nadużycia siły nie należy uważać za prawo, bowiem to było jeno przeczeniem prawa. W późniejszej dobie kiedy szlachta przemogła monarchę, to nadużycie przyjęło poczwarne rozmiary i przyspieszyło upadek. Niéma dawno-

ści uprawnionej dla zbrodni i krzywdy wszelkiej, niepodobna więc bez obrazy rozsądku najdroższych uczuć człowieka i prawdy dziejowej, rościć pretensyj do tego co hanbiło charakter klasy rządzącej przez długie wieki i było przyczyną ruiny narodu, tej niewinnej *większości*, która niezaznała praw rodzinnych w domu matki własnej—ojczyzny! Wzniosłe niegdyś wołał cnotliwy, głęboko uczony Libelt, iż „rzecz sprawiedliwa, *aby wolni uprzednio i uwłaszczeni włościjanie, a teraz przez przemoc czasem uprawniona*,—gdyby czas *nawet i tysiąc-letni, krzywdę jaką mógł uprawnić — wrócić do dziedzictw swoich*“ (ob. Pismo Zbior. Rok 1844 T. I str. 12). Na ogół głuche były: sumienie i rozsądek społeczności naszej, nierozumiano więc tej prawdy nigdy zbiorowo, co jest jasne, bo nawet dziś, po dokonanej stanowczej reformie, odważają się pisarze wygłaszać istne herezyje w rzeczy ulegalizowanej przemocy, która niegdyś wyzuła chłopca z własności i ten jakoby stracił swe prawo przez dawność ziemską... Smutno! Tu nadmiemy że i zdania w tym względzie wyrażone przez uczonego Korzona na str. 485 — 487 w dziele p. t. *We wnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta*, przykre robią wrażenie, tém bardziej, że nieśmiertelny Kościuszko jest przedstawiony w roli nieogłędnego reformatora.

Pan P. też wywodzi wyłączne prawo szlachty na ziemię i Kościuszcze przymawia lekkomyślność postępowania, a później znowu dodaje, jakby na szyderstwo, że manifest Dyktatora był „ślicznym łabędzim śpiewem starej szlacheckiej republiki, (?) że takowy pozostaje w historyi jako akt *dobrowolnej* (?) abdykacyi z władzy dworskiej“ (214) ??!... Tu już tylko oburzenie głębokie może być odpowiedzią autorowi, bo niegodzi się tak kalać imię święte, lekceważyć czytelnika i przerabiać na swoje krzywe kopyto cały sens moralny dziejów ojczystych!

Po tém com powiedział mógłbym złożyć pióro, ponieważ recenzją dopelnia wywołane oburzenie, lecz gdy jeszcze nieco kartek dzieła pozostało, zmuszony przeto jestem kroczyć za autorem do przykrego niemniej końca...

Nagle autor zwraca się znowu do Litwy i mówi, iż wszystkie dokumenta świadczą o dobrym stanie tam ludu, (str. 215)

a choć każe mówić faktami swym przeciwnikom, sam tylko prawi ogólniki, niczego niedowodzące. Myśmy już wsparci powagą uczonego Jaroszewicza rzucili światło na stan ekonomiczny w Litwie, skąd można się przekonać, jaką istotnie była dola ludu litewskiego.

Pan P. na dowód wolności w Litwie, wspomina za Lubomirskim o „*pochożych*“ ludziach, jakoby bardzo licznych, którym przecie można przeciwstawić „*ciahtych*“, „*zasiedziałych*“, „*niewolnych*“ i t. p. przez prawo niejako za własność pana przyznanych. Znajdujemy równie sensacyjną wzmiankę o uciekaniu chłopów w zakordonowym kraju po roku 1772, i że na zbiegów postanowiono srogie kary od nowego rządu. Według pana P. to miało znaczyć, iż za kordonem odrazu stało się gorzej wskutek inicjatywy z góry i niezależnie od woli szlachty. Jest w tém nieco prawdy, ale błędu nierównie więcej.

Istotnie, sprzężystość nowego rządu posiadającego policyjną i stanowczą siłę wykonawczą, była na rękę szlachcie zakordonowej, środkiem dogodzenia jej w stosunku z ludem poddańczym i zarazem przejednania umysłów szlachty przez czysto osobistą sprawę. Ucisk więc wzmógł się nie wskutek rozporządzeń bezpośrednich, lecz z powodu dzielniejszej egzekucyi praw dzieciów *na ich żądanie*...

Mam w rękę ciekawe materyjały o stanie ekonomicznym i umysłów na Białej Rusi i w Inflantach polskich po podziale tych prowincyj, skąd widać wielką pochopność szlachty do egzekwowania praw dominialnych. Materyjały te spożytkowane zostaną w inném miejscu, stosowniejszém i szerszém dla opowieści. Naturalnie, że lud uciśniony uciekał w te strony gdzie z powodu rozprzeżenia administracyi i wogóle stosunków społecznych, ściganie było trudniejszém, kędy był bezpieczniejszy, zwłaszcza, że i prawo bonifikaty za zbiegów zakordonowych przed kordonem upadło i dziedzice w granicach polski mogli śmieliej zbiegów takich przyjmować. W roku 1779 stanęła uchwała, na mocy której nawet ci właściciele, którzy mieli posiadłości w Polsce i za kordonem zarazem nie mogli poszukiwać zbiegów stamtąd. (ob. w Bantkiem Prawo Prywat. Pols. str. 158).

Pytam więc, na kogóż pada wina w obec historii za zbiegostwo ludu z zakordonu jeśli nie na szlachtę stron tamtych, która nawet w chwili nieszczęścia politycznego nie chciała chłopą przygarnąć, lecz przeciwnie, z pomocą nastęrczającój się sprężystej egzekucyi ciemieżyła go bardziej?! Każdy medal ma dwie strony, jam pokazał główną i wyrażając się słowami autora dodam: „niech sobie czytelnik w swój duszy resztę dośpiewa“ (str. 216).

Pan P. wnioskuje o nadzwyczajnych swobodach ludu na Litwie z luźnych uwag Lubomirskiego, zauważmy jednak, że obaj się tu rozminęli z prawdą, nieuwzględniając prawodawstwa, które przecie było kamieniem węgielnym stosunków społecznych.

Jeśli lud wędrował często, działo się to nie wskutek, że mu wolno było przechodzić z miejsca na miejsce, jeno, że sprzykrzywszy sobie ucisk i biedę w jedném szukał czegoś lepszego w inném samowolnie; a kraj, nie posiadający organizowanėj policyi nastęrczał możność łatwój ucieczki. Lubomirski na stronie 62 mówiąc o swobodnym ruchu ludności wiejskiej w Litwie, wprowadził w błąd pana P., wszakże należało ostatniemu dostrzedz sprzeczności w Lubomirskim, mianowicie: gdy szanowny autor Rol. Lud. w Polsce na str. 9, wyjaśnia prawdziwy stan rzeczy, przytaczając dokument z roku 1718 Trybunału Skarbowego kadencyi Mińskiej, stwierdzający, że „Chłopstwo swowolne, *titulo wolni czyniąc się*, którzy posłuszeństwa należytego y powinności panom swoim czynić niechcąc, domy spustoszywszy, z miejsca na miejsce do różnych jurydyk *przechodząc się zwykli*.“ Oto i rozwiązanie wszelkich wątpliwości w tym względzie. Było wprawdzie nieco i „^{ok}położnych“ ludzi, ale pod ich prawa garnął się lud nędzny, niewolny i stąd powstała wędrowka pospółstwa, a co tylko uciskiem i nieznośném położeniem wogóle poddanych daje się wytłómaczyć.

Opowiadanie autora o reakcyjnym stanie umysłów oświecénszych niby w Rosyi względem sprawy włościjańskiej w wieku XVIII i później nie wiele nas zajmuje odnośnie do ludu naszego.

Wiemy, że było tam źle, że nikezemność właścicieli istotnie ciążyła na karkach biednych, zbydlęconych poddanych, a pióro autorów podle się wysługiwało prawu pięści, lecz to wszystko nie może być nawet pozorem dla obrony naszej, bowiem ziemianie gubernij Litewskich i na Rusi po podziale kraju zapomniawszy o najświętszych obowiązkach, niezależnie od przykładu nowej metropolii, doprowadzili ucisk do ostatecznych granic, co z boleścią wyrzucało im wielu autorów, a między innymi i cytowany przez pana P. Tomasz Potocki (ob. O urządzeniu Stow. Rol. w Polsce str. 264).

O ciężkim ucisku w Litwie w czasie, w którym pan Przyborowski i inni chcą upatrywać znośniejszą dolę ludu potrzeba czytać w broszurze bezimiennéj z roku 1788 p. t. „*O poddanych polskich*“ i w broszurze Dawida Pilchowskiego z roku 1789 p. t. „*Odpowiedź na pytanie*;“ i t. d. w późniejszych zaś orgijach szlacheckich aż do dziś dnia cała nasza belletrystyka wzorowa czerpała treść obfitą.

Nadmieniając o satyrycznym zamachu na szlachtę nieśmiertelnych „szubrawców“ wileńskich, o strasznym obrazie „*baragołstwa*“, mistrzowsko skreślonym przez Rzewuskiego dodajmy, iż świadectwo samego mistrza Kraszewskiego wystarczyłoby prawie na dowód, chociaż i wydawczyni dziełka pana Przyborowskiego téż w tym względzie poważne miejsce się należy, i tylko rzecz dziwna, jak jéj pióro mogło się znaleźć w takiej sprzeczności w obec procesu wydawniczego, bo przecie ludzie przodujący społeczeństwu muszą być wierni hołdowanéj zasadzie!... Nie możemy rozpisywać się szeroko o faktach demoralizacyi ziemiaństwa Litwy i Rusi w dobie porozbiorowéj, bośmy ten przedmiot opracowali osobno; lecz nie wahamy się twierdzić, że to były smutne i hańbiące nas czasy, jakkolwiek przeplatane wyjątkową cnotą jednostek i fajerwerkami patriotyzmu zaiste szlacheckiego.

Pan P. na dowód ucisku w Rosyi i lepszego stanu ludu w Polsce powtarza, mylnie tłómacząc za Lubomirskim istotę rzeczy, jakoby 300,000 włościjan z Rosyi przeniosło się i osiedliło na Białéj Rusi i Litwie (str. 215). W rzeczywistości emigracyja

chłopów ruskich do Polski w czasach Piotra Aleksiejewicza, Anny i Katarzyny II-jej była znaczną; lecz to się stało przeważnie w skutek *prześladowania religijnego sekciarzy*, których chciano gwałtem zmusić do wyznania panującego. W granicach Rzeczypospolitej sekciarze ci, znajdując pod względem wiary bezpieczeństwo, uciekali gromadnie, wszakże to nie znaczy, aby ich znęcała lepsza dola ekonomiczna. Tu ci ludzie musieli oddać się w podaństwo panom polskim tém chętniej, iż sumienie przynajmniej doznawało swobód zupełnych. Tę prawdę należy wyrozumić dokładnie i nie mieć pojęć o rzeczywistém znaczeniu przesiedlania się ludu wielko-ruskiego w granice Polski.

Twierdzimy stanowczo, iż zarówno pan Lubomirski jak i pan P. dowolne zupełnie dali znaczenie powyższemu faktowi emigracyi. Było ciężko poddanym ruskim pod władzą bojar i „dworianstwa,“ lecz i nasi nielżej pracowali na pana, i gdyby nie kwestyja wiary, sekciarze bodaj nigdyby do Polski nie wędrowali tłumnie. Niesłuszną była pretensyja, rozciągająca się na prowincyje za zbiegów gwałtami do ucieczki zniewolonych, *ale téż i tłumaczenie zbiegostwa owego w sposób jak to czyni pan P. jest kroplą wody bez żadnej siły na młyn apologii szlacheckiej*. We wszystkich dzielnicach naszych dawniej i później mało było objawów prawdziwie obywatelskiego ducha i dobrych chęci dla ludu.

Na stronie 222 autor sam mówi o wyzyskiwaniu chłopów w Galicyi przez panów po zaborze kraju, co spowodowało, „nienawiść między dworem a wsią, której nigdzie (?) i nigdy (?) w Rzeczypospolitej nie spotykamy...“ Ucisk w Galicyi jest faktem, lecz zdanie, iż *nigdy i nigdzie* w Rzeczypospolitej podobnego nie spotykano nie ma żadnej ścisłości, bo przecie z toku opowiadania autora widzieliśmy, jak od czasów piastowskich *wszędzie i zawsze* działy się okropności i wynikała stąd głęboka nienawiść ludu dla panów. Rzezie za Bolesławów, „huba i krzesiwo“ z porady króla chłopków, „pogrożki,“ bunty Muchy, Lejczysa, Chmielnickiego, Muraszki, Humańskie i inne, zaliż nie są wymownym dowodem przeciwko dowolnemu, paradoksalnemu twierdzeniu autora?

Na str. 223 pan P. wraca do ulubionej myśli i powiada, że „król saski, jakkolwiek Niemiec, pojął jednak, że obdarowanie wieśniaka polskiego bezwzględną własnością sprzeciwia się historii i historycznie wytworzonym stosunkom rolnym w Polsce...“ (!) Takie twierdzenie bezwarunkowo nie może mieć prawa bytu wobec spełnionych już dziejów i zasad nawet moralności, to też odeprzyjmy je znanym dowcipem ówczesnego ministra Badeniego, który trafnie powiedział, iż konstytucja 1807 r. „ściągnęła wprawdzie z chłopą kajdany lecz zarazem i buty...“ jakoż groźne ruchy włościjan po roku 1807 świadczyły o niezadowolaniu ludu. Dziś przesąd został złamany, chłop posiada ziemię bez szwanku kraju i bogdajby przed stu laty stać się to mogło!...

Autor, ciągle wikłając się w sprzecznościach, wspomina po krótko o kilku projektach reformy za czasów ks. Warszawskiego i kończy temi słowy: „nie można było ~~nie~~ odkładać do lepszych i szczęśliwszych czasów; trzeba było wszystko robić odrazu, kuć żelazo póki gorące. *Niezrobiono* tego i nie dziwny się ani też miejmy żalu do ojców naszych z tej doby. Oni nie zrobili tego, bo zdało się im (!) że większe, ważniejsze mają zadanie do spełnienia, (?) *a synowie ich już zrobić nie mogli*“ (str. 225)?!..

Jest to fałszywe z gruntu i sofistyczne rozumowanie, obalamujące tylko i zaćmiewające prawdę całkiem. Przecie dobrze zrobić, ofiarę ponieść w imię wyższej zasady zawsze czas i pora.

Podnosiły się głosy oburzenia na konstytucyjną 1807 r. zarzucano jej, że obraziła szlachtę, mówiąc o zniesieniu niewoli której nie było (?) „*i że wprowadziła równość w obliczu prawa*“ (ob. broszurę Węgrzeckiego z r. 1814 p. t. „*O włościjanach polskich*.“

Po kongresie wiedeńskim, w dobie łaskawych rządów cesarza Aleksandra I, który z największym współczuciem i pochwałą zatwierdzał reformy Hrubieszowskie nieśmiertelnego Staszica, zaprawdę, można było wszystko robić dla szczęścia gminu i kraju! lecz brakło woli pocziwej i ofiarności obywatelskiej... Zamiast szczerze myśleć o rozwiązaniu palącej kwestyi agrarnej

ekonomicznie i politycznie, szlachta „kongresówki“ mając teraz wielki udział w administracyi przeprowadza od roku 1816 prawo rozdrabiania gmin, stosując je do obrębu dóbr dziedzicznych, a w roku 1818 ustanawia się wyłączność urzędu wójtostwa na rzecz dziedzica, przez co wola dominialna nabrała stanowczej przewagi nad swobodnym niby osobiście chłopem.

Następnie zaś w roku 1825 postarano się o wykasowanie z kodeksu Napoleona 530 punktu, na mocy którego włościjanin mógł dzierżawiony grunt pod pewnymi warunkami wykupić u dziedzica na własność bezwzględna.

Na przeprowadzenie takich i tym podobnych ustaw nie brakło czasu szlachcie; ba! nawet w roku 1831 nie przypomniano sobie postanowień wielkiego Dyktatora pod Połūciem, i odłożono sprawę włościjańską, pomimo nawoływań dusz gorących, *ad calendas graecas...* Ależ nie tu miejsce szczegółowo skalpelować dzieje ducha obywatelskości naszej, wszakże każdy człowiek szczery i rozsądny łatwo pojmie przyczyny ze skutków, na które dziś spoglądamy!.. Historyja nie robi przeskoków jak i natura, jeno się rozwija systematycznie w porządku nieubłaganj logiki, i badacz łatwo przewidzieć może następstwa z tego co widzi na dobie. Nie darmo wieszczę nasi i męże wielkiego serca od najdawniejszych czasów przepowiadali zagubę; trzeba być chyba ślepym, żeby nieprzyznać ścisłego związku spełnionych już dziejów smutnych z owemi proroczwty...

Nie ma wątpliwości najmniejszej, że szlachta, *ona jedna*, zgubiła kraj, przez chciwość i niesprawiedliwość względem ludu, a każda obrona jēj czynów obudzać winna w umysłach nieuprzedzonych wstręt i oburzenie!

Mysmy mieli swoich Czazottów od czasów Kadłubka i Długosza aż do Staszica i cóż z tego? machaliśmy tylko ręką, na prawdę zdążając swoją drogą — w przepaść. „Wykonało się,“ a oszołomieni potomkowie próżnością, jeszcze się zachwycają nad rzekomą cnotą ogóhu!... Mówmy otwarcie, szczerze, bez ogródek, że jednostki mieliśmy prawdziwie idealne, co nietylko polakowi, lecz i całej ludzkości za wzór służyć mogą; ogół wszakże zwichnięty moralnie przed wielu wiekami, doszedł na-

reszcie do podłości może nigdzie niepraktykowanej, dla tego właśnie, iż jednocześnie żądał zaszczytów i chwały bohaterów!.. Wiedzmy więc o tém pokornie. Pan Przyborowski, mówiąc pro i contra, poplątał dzieje i wnioski, ale my postawiliśmy kwestyją jasno, a mamy za sobą powagę wszystkich mistrzów naszych nie zaś „*niepowołanych historyków szarlatanów*,” o których tak namiętnie wspomina autor...

Ciekawa rzecz o kim myślał pan Przyborowski nadmieniając o „*pseudo powołanych*“ i „*szarlatanach historykach?*“ czy przedmiotem jego sarkazmu byli: Długosz, Modrzewski, Kochanowski, Orzechowski, Zbylitowski, Petrycy, Starowski, król Leszczyński, Klonowicz, Staszic, Kołłątaj, Zamoyski, Kluk, Konarski, Jezierski, Kitowicz, Wybicki, Matuszewicz, Surowiecki, Skrzetuski, Sułkowski, Koźmian, Lelewel, Śniadeccy, Jaroszewicz, Szajnocha, Skarbek, Supiński, Bartoszewicz, Słowacki, Libelt, Kraszewski, Bobrzyński i inni? Chyba że nie, więc na kogóż sąd tak surowy, bezwzględny? bo mistrze nasi właśnie mówią to, czemu pan P. zaprzecza, wnioskując o smutnej przeszłości naszej. Jeśli pan P. zmienił, jak powiada, pierwotne swoje przekonania o szlachcie, to niezawodnie grubo się pomylił i stanął na zupełnie innym gruncie niż najuczestni badacze dziejów ojczyznych. Wogóle rodacy nasi chcący pracować na polu piśmiennictwa, mogą być pożytecznymi społeczeństwu, przenikając się mądrością głębszych umysłów swojskich, dowolne zaś ich sądy o rzeczach, tylko uszczerbek duchowi narodowemu przynoszą. Wielu zdjętych fałszywym wstydem radzi pokrywać sromotę powszechną przeszłości faktami pojedynczej zacności, ale ta metoda obłudna nie od dziś demoralizuje pojęcia ogółu.

Zapał i pewne poświęcenie się szlachty w rozmaitych epokach dziejów naszych wcale nie rehabilitują jój zbiorowego udziału w losach ojczyzny; wiadomo bowiem, że patryotyzm szlachecki nie był czystym, bezstronnym, mając na celu przeważnie swą kastę, a nie lud, i że najwznioślejsze jój czyny ludziły pozorami, a w gruncie tłała iskra egoizmu. Ktoby o tém wątpił, niech bada dziejopisarstwo, nie mówię już o obcém, *jeno*

swoje, a przekona się o tój smutnej prawdzie. W tём miejscu niech mi wolno będzie przytoczyć zdanie jednego z najnotliwszych i najuczciwszych ludzi w narodzie, Karola Libelta, potwierdzające moje przypuszczenie powyższe.

Mistrz przedstawiwszy ideał najświętszego uczucia miłości ojczyzny woła: „*Mało jest jednak ludzi, coby tak ją kochali; bo ty co przechwalasz się i zaręczasz, że ją kochasz, a lud uciskasz poddaństwem i niewolą, krwawą pracą jego panoszysz się, a od swobód towarzyskich i politycznych, których sam używasz, odpychasz, zwodzicielem i kłamcą jesteś. I ty co ochoczo idziesz walczyć za ojczyznę i niesiesz jój majątek, zdrowie i życie w ofierze, a zacięcie bronisz niewoli ludu i protestujesz przeciwko uwłaszczeniu włościjan, jesteś rycerzem, któryś sobie umarzył ojczyznę z klejnotu szlacheckiego i jego przywilejów. Wadą to jest powszechną, że ludzie, pomimo patryotyzmu i poświęceń dla ojczyzny, nie widzą jój w całości narodu, ale upatrują jedynie w stronnictwie swoim*“ (ob. pismo zbior. „Rok“ 1844 T. I, str. 17 i 18). Dalej, Libelt, przytoczywszy pierwotne objawy światła w Polsce, powiada: „*powinnibyśmy się szczycić z takowych, lecz ta duma znika, wstydem rumieni się oblicze nasze i oczy opuszczamy na ziemię, gdy spojrzymy na późniejsze wieki. Na obszernych urodzajnych równinach 20 milionowego ludu, rozpostarta jak całun niewola, z całym towarzystwem barbarzyństwa i ciemnoty, a wśród nich gwarzy, hula, kilkakroćtysięcy obywatele, w bezzasadnej i rozpasanej wolności, której żadna myśl wyższa nie miarkuje, ani powściąga; żadne pojęcie wyższego celu i postępu nie rozświeca i nie kupi. Najzupelniejszy egoizm—to hasło ogólne, pod którym wszyscy, młodzi i starzy, rzucając w kąć nauki, oświatę, dobro publiczne i poświęcenie, dążą do mety... Szanowne imiona kilkunasztu, a choćby kilkudziesięciu nie rzucają blasku na ten obraz zbyt czarnemi farbami nałożony*“ (Ibidem str. 51).

Za tę znakomitą pracę Libelta obrzucono obelgami, jak zwykle, najgroźniej jednak wystąpił „*Orędownik*“ z roku 1844 w № 20. Wsteczne anonimy A. i Z., zarzuciły wielkiemu obywatelowi nawet złą wolę, więc tłumaczył się zgodnością w VI Zeszycie „*Roku*“ 1844. Próżne są apologije pochlebstw, czy

zaślepienia, bo tój prawdy, żeśmy, byli istotnie szkodliwą krajowi „rzeszą,“ ani kłamstwo, ani przesąd nie zdołają wykreślić z dziejów naszych; ba, nawet ją widzimy całkiem dowiedzioną przez samego pana P. po odrzuceniu nieprawdopodobnych rozumowań jego. Niechże nam ta prawda na zawsze prześwieca, iż jesteśmy starych korzeni odpryskami, które przez zaszczerpiecie chyba w świeżych i starannie pielęgnowanych pieńkach mogą z czasem wydać owoc szlachetniejszy.

Ostatni rozdział poświęca pan P. homeopatycznemu streszczeniu dzieła i różnym ogólnikom w szerokich odstępach czasu, dotyczącym sprawy włościańskiej w Królestwie, w dobie panowania Cesarza Mikołaja. Tu dowiadujemy się o nadużyciach dziedziców, o nieściśłym wypełnianiu tak zwanych „tabel prestacyjnych“ i t. p. ale autor tłómaczy sumienie obywatelskie tём „że ludzie są zawsze ludźmi i nikt nigdy w żadnym narodzie nie chce działać na swoją szkodę,“ a ponieważ przedmiot nie nabył jeszcze „perspektywicznego oddalenia“ (!) przeto autor niechce „bliżej nim zajmować się i kończy sentencyją, że nasza „szlachta zapewne nie była lepszą od innych ale i nie gorszą. Podporządkowała chłopu, bo wszędzie to robiono, (racyja!) szła więc za cudzym przykładem, (!) za koniecznym (!) tokiem dziejów i skutków“ (str. 230), jednak zachowała zgodnie z charakterem narodowym, może wiele pychy, (bagatela) ale tём i *bardzo wiele serca* w swych stosunkach z chłopem (??) patryarchalności, (?) ludzkości (?) i dążeń ku poprawie losu ludu“ (??!). Książka pana P. miała jakoby to wszystko udowodnić, więc autor każe jeśli niebyć dumnym z *przeszłości*, (w kilku atoli miejscach swój książki każe być dumnym) to przynajmniej *cieszyć się z niej szczerze...* (str. 231 i ostatnia).

Tu kamień z serca spada czytelnikowi na wspomnienie, że się apologija nareszcie skończyła a z nią i szkoda dalsza umysłowi obywateli polskich!

Dzielko pana Przyborowskiego, poruszając nader żywotny przedmiot, rozbudziło silną agitacją w prasie naszej, prawie wszystkie pisma wspomniały o niём: jedne ogólnikami dość życzliwie, inne wystąpiły z najostrzejszą krytyką. Kiedym skoń-

czył niniejszą pracę doszły mych rąk te druki. Pan Jeź, polemizując z „Prawdą,” zamieścił w № 271 Tygodnika Illustrowanego za r. b. (1881) obronę dziełka pana P. która niemal dowodzi, że chyba obrońca nieczytał utworu z uwagą. Z ust tak poważnych takie gołosłowne, a zarazem stanowcze i nieprawdopodobne zdania w podziwienie tylko wprowadzić mogą każdego i nastęrczyć myśl, iż recenzent dla jakichś niewiadomych względów zupełnie stronnie wyrokował. O tój recenzji nie więcej powiedzieć nie można, a ciekawy czytelnik niech sprawdzi tekst pana Jeża z naszym aforyzmem.

W obec luźnej apologii pana Jeża „Nowiny,” „Gazeta Warszawska“ (№ 44) „Przegląd Tygodniowy“ (№ 5) i „Prawda“ (№ 6) podały acz krótkie wszakże ściśle krytyczne rozbiory dziełka pana P.; każda z tych krytyk naukowo zbija grube błędy i mrzonki autora, lecz uzdolniony pisarz pan Władysław Smoleński swą recenzją w „Prawdzie“ prześcignął bodaj wszystkich bezwzględnością sądu i jasnością zarzutów. Choć wyrok pana Smoleńskiego bardzo jest surowy, tém niemniej, oprócz chyba wyrażen wystosowanych do osobistości, resztę wszystko znajdujemy sprawiedliwem, słusznem, logicznem i naukowem, a jakkolwiek krytyka ta wyraża dostatecznie wartość dziełka sądzę jednak, że i niniejsze bardziej szczegółowe w inny sposób i z innego nieco stanowiska w oddzielnie opracowanej broszurze uwagi nie będą zbyteczne dla czytającej i pragnącej światła publiczności naszej, bowiem w tak ważnym przedmiocie utwór musiał być rozpatrzony, dokładniej i opatrzone komentarzami. Nie pochlebiam sobie, abym wyczerpał przedmiot, gdyż należałoby chyba recenzją rozciągnąć o cztery razy więcej niż ta, którą dałem, uważny jednak czytelnik, śledząc dziełko pana P., sam już teraz najlepiej za pomocą metody wskazanej wartość onego oceni, a gdy, wybrawszy fakta historyczne, bezwarunkowo odrzuci *całkiem* sąd autora o nich, wówczas sam materiały dziejowy może być spożytkowanym nie bez korzyści.

Niewątpliwie, pan P. według słów pana Smoleńskiego, wziął na swe barki niepomierne do sił brzemie Atlasa, zaś przezywanie ludzi nauki inaczéj widzących niż on, „*niewpowołanymi*

szarlatanami“ i t. p. musi być mu poczytanem za najwyższą niedyskrecyją i dla tego im dziełko jego srożej sądziło *mistrzów naszych* tém silniejsze dowody znajduje przeciwko sobie. Prawda powinna być bezwzględna i myśmy ją wypowiedzieli z całą szczerością, dla pożytku ziomków, którym pilno się otrząsnąć z przesądów, jakowe ciągnie nasz rydwan narodowy zepchnięty w otchłanie... Dobrze powiedział Kraszewski, iż „byliśmy kotłem, w którym się smażyły trucizny i lekarstwa“ ale snadź pierwszych była większa doza kiedy zatrula organizm narodu. Że inni byli nie lepsi nam stąd nie pociecha, *bo szlachcie w ideale wieszczów* naszych jest uważany jako wcielenie godności, cnoty, — jako filar kraju!.. Lecz prawdziwa cnota, niestety, zaledwo w dość rzadkich wyjątkach rosła na bujnym gruncie szlacheckim, a „*rzesze*“ herbowe zamiast być filarami, jak *Termidy* podtoczyły gmach społeczny, więc za ich sprawą runęło wszystko. Krytyczna doba szlachectwa, to wszechwładztwo nikezemnej pamięci księcia samozwańca Ponińskiego! Ale pycha nasza tradycyjna, podlewana sowiec wyuzdanem pochlebstwem panegirystów, została nadługo potwornem bałamuctwem, mamidłem dla potomków tych ludzi, co kraj zgubili. I dziś jeszcze pomimo wieku pary, telegrafów i telefonów, dużo wody bodaj upłynie zanim duch nasz, poruszając się w odwrotnym kierunku okropnej tradycyi, stanie u celu prawdziwej godności obywatelskiej. Działyńskich, Zamoyskich, Lubomirskich Baworowskich, Skirmuntów nam trzeba, a wicluż ich mamy?! Obejrzyjmy się dookoła co się dzieje z nami! U góry w sferze utytułowanych dynastów zupełnie pustki duchowe, kędy rośnie tylko według słów Supińskiego „*owoc pośmierci*“ pychy i dumy, podobny do owych pozornych plodów martwego jeziora, zawierających wewnątrz proch trujący!.. U dołu pustki równie; bośmy ten grunt ludowy plądrowali przez wieki całe bezkarnie... Pośrodku wprawdzie jest nieco światła i ciepła, ale téj pochodni brakuje oliwy, podsycającej płomień, i powietrza — t. j. ofiarności ogółu duchowej i materyjalnej... Nad tém zaś wszystkiem, jak nad trupem gromadzą się pasożytne żywioły, czujące lekką zdobycz i oto obraz treściwy kraju!..

W takim stanie rzeczy śpiewać dysonansami hymny pochwalne przeszłości, która jest przyczyną chwili bieżącej, co najmniej niegodzi się, bo nam tylko pozostaje spowiedź ze skruchą, akt pokuty z mocnym postanowieniem poprawy i czyn. Okłamywano nas przez wieki całe, więc nie łudźmy się mrzonką, wyszukując rzekomej cnoty ogółu, piękna tam, gdzie go nie było oprócz w wyjątkach. Tym wzorom świętym bijmy czołem, jak bóstwom naszego genjuszu i naśladowmy je żarliwie w imię idei narodowej, fanfary zaś o szlachcie zostawmy *ad acta* na zawsze, ku przestrodze potomków.

A. Jelski.

Pisałem w Zamościu 10 Lutego 1881 r.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

Cena kop. 50.

F

18.234